Miesięcznie 1 zł. 1 egz. 30 groszy.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 10 stycznia 1937 r. Nr. 2

STAROŚĆ



Czasami jest jasną, jak promień słońca,
Czasem, jak popiół, jak chmurny dzień, szarą
To znowu wlecze się długo, bez końca
Przez ten życia szlak długi — ludzka starość.

Nie czeka już na nic, nie tęskni, marzy,
Bo to, co przyjść miało, już dawno przyszło,
Już dla niej minął czas nowych wydarzeń
I młodych zapałów natchnienie prysło.

Dziś dziada siwego i babci starej
Już tamta strona jest tylko tęsknotą,
Jeszcze czas jakiś — i rzucą dni szarość
I pójdą w nirwany swojej dal złotą.

Nie boją się cieni, wieczności cieni,
Bo przecież życie ich pustką nie było —
Och! było i słońcem, było cierpieniem
I szczęściem krótkim... niechby się skończyło...

Maria Zemmlerówna.

WOJCIECH HOLM

14)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Nie mam jeszcze zupełnie potrzeby starać się o to, żeby młodziej wyglądać. Fryzury „a la Mozart" są sztywne i niezgrabne. Jak nic mądrzejszego nie umiecie wymyśleć, to schowajcie dla siebie swoje rady!

A ty, Franiu — rzekła, zwracając się do swojej garderobiany — zaczesz mnie już jak ci się żywnie podoba, tylko nie zrób ze mnie straszydła na ptaki.

Dziewczyna pomyślała chwilę, nie odważyła się jednak na jeszcze jedno pytanie, z obawy, aby baronową nie zniecierpliwić. Zaczęła więc zręcznie rozdzielać włosy i układać w małe pukle.

Baronowa przypatrywała się temu w lustrze z pochmurną miną i zapytała:

— Któż ci kazał, abyś mnie wysoko zaczesała?

— Myślałam... jęknęła Frania zmieszana.

— Ty nie masz nic myśleć — wrzasnęła baronowa. — Przynieś nożyce do karbowania włosów, maszynkę spirytusową i nakarbuj mi włosy w same małe loki!

— O Boże, że też ja na tę myśl przyjść nie mogłam — zawołała Anastazja — przecież pani baronowa wygląda w lokach jak aniołek!!

Ty nigdy nie masz żadnego dobrego pomysłu — odparła baronowa zgryźliwie. — Frania toż samo! Ja zawsze nad wszystkiem sama sobie muszę łamać głowę!

Było to jej jedynym zatrudnieniem myśleć o strojach, a i to nawet wydawało jej się za dużą robotą.

Frania zaczęła ostrożnie rozwijać pukle, dopiero co ukończonej fryzury swej pani i zapiekać niezbyt bujne jej włosy w małe loczki. Mimo, że była bardzo ostrożną, baronowa wciąż narzekała:

— Jak ty mi włosy szarpiesz, niezgrabne stworzenie! Teraz mnie znów upiekłaś. Obchodzisz się z moją głową tak, jak gdyby ona była z drzewa albo z kamienia! Powyrywasz mi wszystkie włosy.

Wygląda to tak, jak gdyby umyślnie. Czy chcesz, abym łysinę dostała? Jak dalej będziesz tak niezgrabną, to się nie będę z tobą dłużej męczyła i odprawię cię. Nie śni mi się nawet, przez ciebie rozchorować się.

Wreszcie arcytrudne dzieło fryzjerskie było ukończone. Baronowa zauważyła, że te krótkie loki przytrzymane wąską złotą obrączką podnoszą jej piękność, a spostrzeżenie to sprawiło, że złagodniała trochę.

— Co za suknię mam dziś włożyć — zapytała swej towarzyszki.

Pytanie to nie zaskoczyło Anastazji niespodzianie. Była ona na to przygotowana i zaczęła wyliczać z podziwienia godną szybkością cały szereg sukień jedną po drugiej:



W Berlinie odbył się ślub znanej i lubianej artystki filmowej Olgi Czechowej z Belgiem Marcelim Robyu. Na zdjęciu młoda para z świadkami.

— Suknię czarną aksamitną, jedwabną, koloru poziomkowego; kaszmirową koloru dzikiego wina itd., lecz baronowej żadna z proponowanych toalet nie przypadła do smaku.

Spróbowała trzy różne suknie, a że sama sobie w żadnej z nich nie podobała się, dała się wreszcie namówić do bardzo kosztownej sukni terrakotowej jedwabnej, ubranej złotą koronką.

Gdy się już dość w lustrze napatrzyła, rzuciła przelotne spojrzenie na swą towarzyszkę, która siedziała schylona nad poduszką, haftowała i zawołała kipiąc z gniewu:

— Jakto, Anastazjo i ty jeszcze nie ubrana? Więc to ja mam czekać na ciebie, nim ty się wyguzdrzesz, albo sama mam zejść do sali jadalnej? O, co to, to nie!

Nie robi to dobrego wrażenia i nie wypada dla mnie, abym jeździła i pokazywała się w towarzystwie bez damy honorowej. Jestem na to za młodą jeszcze. Co ci też na myśl przyszło?

— Czekałam dotychczas na pozwolenie pani baronowej, aby pójść do swego pokoju i przebrać się — usprawiedliwiała się towarzyszka.

— Głupie gadanie — krzyknęła piękna pani zniecierpliwiona, mimo, że innym razem bardzo się gniewała, gdy Anastazja bez pozwolenia wychodziła, aby trochę czasu poświęcić swojej toalecie. — Daję ci pięć minut czasu, ani sekundę więcej! Nie mam najmniejszej chęci czekać na ciebie w nieskończoność.

Towarzyszka pobiegła jak strzała do swego pokoiku położonego o dwa piętra wyżej od mieszkania baronowej.

Zrzuciła w gorączkowym pośpiechu swą domową suknię i włożyła swój strój niedzielny, dość już znoszoną czarną jedwabną sukienczynę.

Następnie zbiegła szybko na dół, a gdy zdyszana i zasapana stanęła w pokoju baronowej, zastała ją wygodnie siedzącą na kanapie i zatopioną w czytaniu jakiejś powieści.

Lekkim chrząkaniem oznajmiła Anastazja swoją obecność.

Baronowa podniosła głowę i rzekła obojętnie:

— Ach, to ty! Musimy jeszcze trochę poczekać, zanim zejdziemy na dół. Jest to zawsze efektowniej przyjść później; robi to większe wrażenie.

Towarzyszka usiadła na krześle i czekała cierpliwie, lecz tak umęczoną się czuła, zbytnim pośpiechem przy ubieraniu, że dotychczas czuła krew bijącą jej w skroniach szybkim tętnem i krążącą po żyłach jak lawa.

Nie było to po raz pierwszy, że się tyle daremnie namęczyła w służbie tej kapryśnej, niesprawiedliwej kobiety. Była do tego przyzwyczajoną.

Czekając cierpliwie nim baronowej przyjdzie myśl, by zejść na dół do sali jadalnej, patrzała na ulicę, gdzie ubogo ubrani rybacy ciągnęli swój towar.

Z uczuciem zazdrości spoglądała na ten proletarjat, gdyż ich egzystencja wydawała jej się mniej pozbawioną godności człowieczej, niż jej własna.

Anastazja nie była już młodą. Przeczyła już rok czterdziesty, a po za sobą nie widziała nic, jak tylko długie lata ciężkiej służby.

Gorzka ta pigułka była wprawdzie ozłoconą i jej samej zdawało się, gdy była młodą panną, że być towarzyszką wielkiej damy, znaczy to, co być samą damą.

Prędko dość przekonała się jednak, że to były iluzje. Towarzyszyła wprawdzie swojej pani w podróżach, szła z nią do teatru i na koncerty i była zawsze w jej salonie, gdy baronowa przyjmowała gości, ale jakże drogo okupywała te przyjemności!

Dniem i nocą musiała być posłuszną i chętną niewolnicą kapryśnej kobiety. Każde jej widzimisię musiała znosić cierpliwie, każdą niezasłużoną wymówkę przyjąć z pokorą i łagodnością, a przytem być nieznużoną na usługach swej pani.

Na wiele upokorzeń narażoną była nietylko ze strony swej pani, ale i innych ludzi. Jak często obrażali ją wyniośli znajomi baronowej, zapełniający jej salony.

Służba uważała ją za swoją równą. Często zdarzało się, że pokojówka ni stąd ni zowąd zapominała niby posprzątać pokój towarzyszki, gdy jej jaka mucha na nosie usiadła.

Jak często służący przy stole ominął ją przy jakimś daniu. Jak szyderczo przyjmowała służba jej rozkazy. Z jaką bezczelną poufałością traktowała ją w najlepszym razie.

Gdyby Anastazja teraz jeszcze miała wolny wybór, wolałaby z pewnością najskromniejszą egzystencję, niż tę swoją dotychczasową niewolę, która na pozór tak wspaniale wyglądała.

Było jednak zapóźno. W czasie wieloletniej swej służby u wielu różnych dam, postarzała się. Jej jasne włosy dość już były przyprószone siwizną; jej oczy tak ogniste dawniej, zmętniały,

silny jej organizm wyczerpał się. Cóż więc teraz jeszcze mogła nowego począć. Jaki inny zawód mogła w tak późnym wieku jeszcze obrać? Musiała już pozostać w jarzmie do końca swego biednego życia. Dla niej nie było już wolnego wyboru.

Tak daleko zaszła Anastazja w swych myślach, które przerwała baronowa, zwracając się nagle do niej.

Odłożywszy książkę zawołała na Franię i kazała sobie podać rękawiczki, wachlarz i nadzwyczaj miękki jedwabny szal, a potem uśmiechnąwszy się uprzejmie, rzekła do swej towarzyszki słodziutkim głosikiem:

— Chodź, kochana Anastazjo! Już czas, abyśmy zeszły.

Nagła ta zmiana w humorze baronowej nie była dla Anastazji nowością. Przyjęła ją bez zdziwienia, była bowiem do tego przyzwyczajoną i wiedziała, że baronowa von Wimpfen wraz z toaletą wizytową wkładała też nastrój towarzyski. Była to niejako generalna próba, przed występem swym w towarzystwie, w którym zawsze grywała rolę czarująco uprzejmej, uwielbianej i ubóstwianej kobietki, szczególnie gdy było to towarzystwo eleganckich, młodych panów.

Z miną pewną nowych tryumfów przekroczyła ona szerokie, dywanami pokryte korytarze i weszła do sali jadalnej, a za nią smutna i przygnębiona wsunęła się Anastazja.

ROZDZIAŁ XLVIII

Baronowa von Wimpfen w towarzystwie.

Przy długim stole siedziało już zebrane towarzystwo, a kelnerzy uwijali się i podawali zupę, bo oznaczony okres obiadowy już minął.

Spóźnione wejście baronowej sprawiło oczekiwany efekt.

Wszyscy obecni odwrócili się, by ją zobaczyć i nie jeden wzrok, pełen podziwu padł, na piękną i szykowną kobietę.

Pierwszy kelner, który jako Paryżanin, miał słabość do płci pięknej wogóle, a specjalną jakąś dla pikantnej, życiem tryskającej baronowej, pospieszył naprzeciw niej.

Zarezerwowałem dla jaśnie pani wyborne miejsce — szepnął jej usłużnie — między księciem Choisenl a hrabią Brevy. Proszę za mną, jaśnie pani.

Zaprowadził baronową na jedno z pierwszych miejsc a dwaj dystyngowani młodzi kawalerowie pospieszyli, aby jej ułatwić dostęp do tego miejsca. Na Anastazję nie zwracali uwagi, lecz ona przyzwyczajona do tego, że ją ignorowano, zajęła pierwsze lepsze miejsce, które zauważyła.

Wybrała ona sobie bardzo stosowne miejsce, bo za sąsiada dostała z jednej strony bardzo chudego i niezmiernie zaambarasowanego młodzieńca, którego powierzchowność zdradzała nauczyciela domowego; z drugiej zaś strony siedziało jakieś indywiduum, mające typ komiwojażera z handlu wina.

Anastazja zaczęła powoli zdejmować swe jasne, benzyną woniejące rękawiczki i powiedziała kelnerowi, aby nie zabrał jej zupę ze stołu. Tu była przynajmniej swoją panią i chciała korzystać z wolności.



Silne burze szalejące u wybrzeży Anglii spowodowały liczne powodzie. Wiele ulic miast nadbrzeżnych zostało zalanych. Na zdjęciu widzimy dzieci w wysokich gumowych bucikach, zdążające przez zalane ulice do szkoły, niosąc na plecach młode koleżanki.

Z wielkim apetytem zawsze zorzystała z każdego dania i wychylała puhar za puharem, który jej sąsiad, komiwojażer, ciągle świeżo dolewał a przytem gawędziła ze swoimi sąsiadami tak swobodnie i niekrępująco, jak gdyby była najszczęśliwsza pod słońcem osobą.

Baronowa von Wimpfen zajęła z lekkiem skinieniem głowy przeznaczone dla niej miejsce.

— Przepraszam, że panom przeszkodziłam — rzekła uprzejmie dobrą francuszczyzną, zwracając się do swych sąsiadów.

— Jesteśmy zachwyceni tą przeszkodą — odpowiedział jej książę Choisel, niemłody już, ale nadzwyczaj dystyngowany człowiek.

Obawialiśmy się już, że będziemy zmuszeni spożyć nasz obiad bez oglądania pani, którą uważamy za największe arcydzieło Twórcy. Pani baronowa pozwoli, że się przedstawię:

— Książę Choisel, a to hrabia Brevy — dodał, wskazując na drugiego sąsiada baronowej.

Baronowa skłoniła się z uprzejmym uśmiechem. Nikt nie byłby przypuszczał, że ta sama kobieta, która się umiała tak słodziutko i czarująco uśmiechać, umie tak ostro i szorstko przemawiać.

Popatrzyła przez stół i rzekła do księcia znacząco:

— Jak pusto jeszcze w Biaritz jednak.

— Rzeczywiście — potwierdził z westchnieniem książę — i ja czuję się osamotnionym, ale spodziewam się dziś gości z Paryża.

Dotychczas widziałem trzy znajome twarze tutaj i to był mój dostawca mebli, mój handlarz winien i mój bankier.

To niesłychane, żeby tacy ludzie dziś wszędzie nam się narzucali swoją obecnością. Będziemy musieli się skryć w naszych zamkach przed parweniuszami.

— To okropne — skarżyła się baronowa — jak ci wzbogaceni plebejusze się narzucają i wszędzie się wciskają.

Mimo to pani baronowa we Wiedniu nieraz zapraszała bogatych żydowskich bankierów na swoje salony, bawiła się z nimi często w zakłady, w których wygrywała kosztowne podarki.

Teraz jednak wypadałoby jej udać arystokratkę, która innych nie uważa za ludzi.

— Czy pani baronowa sama tutaj? — spytał hrabia Brevy.

— Mam tylko towarzyszkę, panie hrabio — odpowiedziała Lola von Wimfen — tam siedzi przy końcu stołu, ta blada blondynka.

— Świetne tło dla piękności pani baronowej — wtrącił książę.

— Ach, jak mnie panowie krzywdzicie — kokietowała baronowa — to tylko nadmierna dobroć z mojej strony, że Anastazję trzymam; taka jest niezgrabna i nudna, że mi już brak cierpliwości dla niej. Źle mówi po francusku, gra jeszcze gorzej, herbatę zawsze musi rozlać albo zbić filiżankę, a ja mimo to ją trzymam jakby za pokutę. Żal mi ją odpędzić od siebie, bo wiem, że nikt nie będzie mieć tyle cierpliwości, co ja. I tak poświęcam się dla niej — dodała, zawracając oczyma.

— Co za szlachetność — podziwiał książę, a hrabia Brevy patrzał na nią z podziwem.

Biedna Anastazja.

Spożywając majonez, nie wiedziała, nawet jak niesprawiedliwie ją osądzają.

A gdyby słyszała jak się baronowa podaje za ofiarę swojej dobrotliwości, mogłaby tylko szyderskim uśmiechem zemścić się za to, co znosiła codziennie od swojej pani.

Tem lepiej dla niej, że jej myśl o tem, nie psuła apetytu.

Baronowa zaś bardzo sprytnie się urządziła, opowiadając o swej towa-

rzyszce. W ten sposób rozmowa, prowadzona dotychczas z męczącą ceremonialnością, zaczęła przybierać ton swobodniejszy. Ona zaś umiała w dalszym ciągu swej rozmowy wzbudzić podziw towarzyszy dla siebie.

Gawędziła w sposób tak miły i zajmujący i mimo wielkiej ogłady światowej miała coś tak mile naiwnego. Zdawało się, że nie jest próżną i dumną i z nim, z którą jej bardzo było do twarzy oświadczyła, że nic nie daje na pozory, ani na wygląd.

Tym sposobem pozyskała sobie hrabiego Brevy, który miał plamę wątrobianą nad lewą wargą i ogromne uszy.

Książę Choisel zbierał rozliczne antyki.

Ona poznała się na tem i pokazało się, że jest także miłośniczką starożytności.

Ze szczerym zachwytem podziwiała głupio brzydką szpilkę do krawatki, pochodzącą z XV wieku, którą jej z triumfem pokazywał książę.

Słowem, baronowa Lola okazała się osobą, której nic nie można zarzucić, a jej złośliwej kapryśności, szorstkości nikt nie byłby uwierzył.

Rozmawiali sobie tak żywo aż pod koniec obiadu, poczem baronowa z prawdziwie dziewczęcą, cudną nieśmiałością poprosiła ich do siebie na czarną kawę.

Oni naturalnie przyjęli zaproszenie z prawdziwą radością.

Anastazja nie zdziwiła się wcale przyjemnej minie, z jaką ją baronowa „prosiła", aby była „tak dobrą" i zrobiła kawę.

Baronowa we własnym salonie ukazała się bardziej jeszcze czarującą w roli gospodyni.

Anastazja tymczasem sporządziła kawę, nie wylewając ani nie tłukąc naczynia, ku ogromnemu zdziwieniu panów.

Baronowa przyznała się naiwnie, że lubi łakotki i podawała panom ciasta.

Na tem zeszło w sposób bardzo przyjemny kilka godzin.

Panowie nadskakiwali jej, a ona zaś była w swoim żywiole.

Nareszcie etykieta kazała im opuścić salony baronowej.

Baronowa rzuciła się bez wszelkiej gracji na kanapę i rzekła ziewając:

— Nie ma jak arystokracja austrjacka. Ci rojaliści z francuskiej szlachty są tacy sztywni, że nie można wytrzymać a u nas jest swoboda.

Nie dalej jak dziesięć minut temu zapewniała ona księcia i hrabiego, że swoboda, która się wkrada w koła wiedeńskie, bardzo jej się nie podoba.

— Myślałam, że się pani bardzo dobrze bawi — rzekła Anastazja — w każdym razie lepiej, niż samotnie przesiedzieć całe popołudnie.

— Et — zaprzeczyła baronowa, która z zasady nie przyznawała się nigdy do tego, że się dobrze bawiła — położę się spać. Czytaj mi aż nie zasnę.

Frania rozebrała ją, a towarzyszka czytała jej przy słabym blasku nocnej lampy, bo przy dobrym świetle pani baronowa nie mogłaby nigdy zasnąć.

Nareszcie regularny oddech wskazywał, że baronowa usnęła i Anastazja



Swego czasu przemawiał w Mediolanie Mussolini który zadeklarował się jako zwolennik rewizji granic na korzyść Węgier. Obecnie spotyka się wiele Węgierek noszących jedwabne szale, z wydrukowanymi na nich słowami przemówienia Mussoliniego. Modę tą stanowi pewien rodzaj dziękczynnej manifestacji na cześć Mussoliniego.

wróciła do swego pokoju.

Gdyby hrabia Brevy i książę Choisel widzieli Anastazję, jaka ona jest zmęczona, byliby może wątpili o dobroci tliwości baronowej.

Nazajutrz Lola leżała na kanapie czytając romans, gdy jej zameldowano księcia Belę Iffalwi.

Podskoczyła jak zaelektryzowana przed lustro, wyciągnęła na czoło jeszcze kilka loczków, poprawiła kokardkę i zawołała szorstko do Anastazji:

— Daj mi poduszkę, a za kilka minut wyjdź.

Trzymając w ręku haft Anastazji, przyjęła baronowa gościa uprzejmie.

— Niedobry książę — zawołała filuternie — tak to się dotrzymuje słowa przyjaciołom? Jeżeli pana nie powstrzymało trzęsienie ziemi lub podobny figiel, to bądź pan przygotowany na moją niełaskę.

— Żyłam tu jak sierota opuszczona — robiła mu wymówki — jak gołąb między krukami.

Książę Bela ucałował elegancko jej piękną rączkę, mówiąc:

— Wyznaję ze skruchą, że nic nie mam na swoje usprawiedliwienie. Wolę więc od razu przyznać się do winy i przyjąć pokutę.

— Za karę musi pan zostać u mnie przez całe popołudnie i cały wieczór — rzekła baronowa, wskazując mu miejsce na kanapie obok siebie.

— Ach, to jest kara tak pożądania godna, że codzień jestem gotów coś popełnić, bym mógł na nią zasłużyć.

— Pochlebstwo — rzekła Lola, mrużąc oczy — Każdy tak mówi.

— Przenigdy — przysięgał książę — ale nad czem to pani tak pracuje?

Wskazał na przepiękny haft, nad którym Anastazja pracowała troskliwie przez kilka miesięcy, a który teraz Lola Wimpfen zeszpeciła zupełnie kilkoma niezgrabnymi ściegami.

Baronowa podniosła czerwoną pluszową poduszkę ze złotym haftem i pytała kokieteryjnie:

— Poznaje pan, co to będzie?

— Mój herb — odpowiedział książę mocno zdziwiony.

— A wie pan dla kogo on jest przeznaczony? To rewanż za bransoletkę. Nie powinien mi pan był robić tak kosztownego prezentu.

— Ach, nie wiedzieć, cobym zrobił, by tylko panią ucieszyć — odpowiedział książę Bela Iffalwi, obejmując ją bez uporu z jej strony — ale po co dla mnie psuć te piękne oczy.

Gorący oddech jego czuła na swej twarzy, a płomienny jego wzrok szukał jej oczu.

— Książę, nie mów tak, wspomnij na swoją żonę — mówiła baronowa szeptem.

— Nie wspominaj mi tego nieszczęścia mego życia — zawołał książę. Pozwól, bym przy tobie zapomniał i był szczęśliwy.

Przycisnął ją do swych piersi i okrywał pocałunkami, na które ona odpowiadała mu namiętnie.

Podczas, gdy oni używali zbrodniczego szczęścia w miłości, żyła pracowita małżonka księcia w samotnej willi w Oberweidlingen.

Książę Bela Iffalwi wzgardził miłością czułej i wiernej Irmgardy i wpadł w sidła tej lekkomyślnej kokietki, ale między nim a jego małżonką stała jako nieprzeparta zapora, wina Irmgardy, mimo to, że książę nic a nic nie wiedział.

ROZDZIAŁ XLIX.

Biedny więzień

Piękna Ilona przemykała się jak cień z pokoju do pokoju.

Pełzała jak wąż, kryła się za meblami, by tylko się przed nim nie zdradzić.

Udawało jej się to, bo Alojzy szedł za nią jak lunatyk.

Ospale i leniwie otwierał drzwi za drzwiami, a cyganka, która zamek Felseg znała bardzo dobrze, zobaczyła, że wreszcie znajdują się w ostatnim pokoju skrzydła zamkowego.

Przysiadła za starą szafą dębową i zobaczyła jak Alojzy stawia latarnię na ziemi, po tym klęka i naciska jedną pozornie nieruchomą płytę w podłodze.

Ku ogromnemu jej zdziwieniu, płyta odsunęła się łatwo, a pod nią ukazał się duży otwór.

Wkrótce po tym ozwał się trzask i skrzypienie i coś spuszczono, jakiś ciężki przedmiot.

Ilona wychyliła się, aby zobaczyć, co to jest ale w pokoju było za ciemno. Widziała tylko, że kasztelan wyciąga klucz z kieszeni, otwiera dużą szafę stojącą przy ścianie i wyciąga z niej drabinę, spuszcza ją przez otwór i po tym niezgrabnie z koszem i dzbankiem schodzi na dół.

Gdy jego ciężkie kroki ozwały się na dole w piwnicy, Ilona wyszła z ukrycia i poznała, że tam na dole jest piwnica, podzielona kratą na dwie części.

— Tam jest hrabia Werner — pomyślała sobie — tę kratę spuścił Alojzy i stąd pochodzi to skrzypnięcie.

Nie wiedziała jak długo Alojzy zabawi na dole i musiała czemprędzej uciekać. Wprzód jednak kawałkiem wapna narysowała sobie krzyż na płycie w pobliżu otworu, aby po tym odszukać to miejsce. Po tym chciała uciekać.

Ale Alojzy zamknął za sobą wszystkie drzwi.

Śmiertelna trwoga ją opanowała.

Co zrobić?

Albo skryć się i dać się zamknąć, albo zdradzić się. Ale w takim razie Alojzy mógł ją zabić.

W imaginacji czuła już zimny sztylet w sercu i widziała jak Alojzy żałuje popełnionego morderstwa, ale już zapóźno.

Tak stała bezradna i trwożna. Przyszło jej na myśl, aby po cichu otworzyć okno i uciec. Ale żelazna sztaba przy okiennicy odebrała jej odwagę.

Trwożnie rozglądała się wkoło i oko jej zatrzymało się na kominku.

Przez komin wydrapie się na dach, a stamtąd już dla zręcznej cyganki było rzeczą nadzwyczaj łatwą dostać się na dół.

Umiała wspinać się jak wiewiórka.

Krótka modlitwa dziękczynna bożkowi Wisznu, następnie wlazła do komina.

Tam już nic jej nie groziło i tu dopiero zaczęła się namyślać.

Miała na sobie swój najkosztowniejszy strój, któryby się zniszczył od sadzy.

Szybko więc zdjęła wierzchnie suknie, zawinęła je w halkę, robiąc z tego węzełek.

Teraz już była zupełnie spokojna i czekała co dalej będzie.

Dobra chwila upłynęła nim Alojzy wylazł z piwnicy. Widziała jak podnosi kratę, jak wyciąga drabinę, zamyka otwór, odchodzi i przekręca klucz we drzwiach.

— Możesz zamykać — szeptała ironicznie — nie wychodziła jednak z ukrycia, bo kasztelan mógł był zapomnieć coś i wrócić po to.

Dopiero w pół godziny potem odważyła się zapalić światło, zasunęła rygiel środkowy we drzwiach i wyszukała płytę zamykającą otwór do piwnicy.

Znalazła ją, ale nie umiała otworzyć. Pot lał jej się z czoła, krew wydobywała się z pod paznokci, ale naprożno.

Była w rozpaczy.

— Więc wszystko na nic? — myślała sobie.

To nie może być, szepnęła i tupnęła nogą o ziemię.

Otarła krew z rąk, aby żadna kropla nie spadła na podłogę i ją nie zdradziła; zabrała się na nowo do roboty.

Po długich usiłowaniach udało się wreszcie ruszyć płytę z miejsca. Z okrzykiem radości zobaczyła przed sobą ciemny otwór.

— Panie hrabio — zawołała — czy pan słyszy?

— Kto mnie woła — zapytał słaby głos z dołu.

— To ja, Ilona, cyganka — odpowiedziała prędko.

— Ty na ratunek? Boże! — zawołał hrabia, zapominając nagle o wszelkiej rozpaczy — Bóg cię zsyła, by mię ratować z tej męki. To straszne, com tu wycierpiał. Lecz o tym, potem. Tam gdzieś musi być drabina ukryta, spuść mi ją aniele boski!



Scena z Urszulą Grabley i Anny Ondrą z nowo wy produkowanego filmu reżyserii Lamacza p. t. „Dziewczę z baletu".

Ilona chciała jednak okazać mu z jak wielkimi ofiarami i poświęceniem połączone jest to, że ona go ratuje.

— Ach — odpowiedziała z udanym smutkiem — drabina zamknięta na klucz.

— Więc rzucę ci na górę moją pościel, podrzej ją w pasy i zrób z tego linę. Przywiążesz ją do kraty w kominie i ja w ten sposób się wydrapię.

— Na miłość Boską, panie hrabio, nie można, bo Alojzy jest w pobliżu i usłyszy.

— Dziewczyno — zawołał Werner zrozpaczony — jeżeli masz Boga w sercu i spodziewasz się szczęścia na ziemi i w niebie, zlituj się nade mną. Piekło jest lepsze niż te męki tutaj. Idź do panny Sylwii Herwart, i powiedz jej, że ja tu jestem, a ona mnie już uwolni.

— To pan hrabia nie wie — kłamała Ilona — że panna Sylwia zaręczona jest z baronem Sturmfederem i wątpię czy by ona chciała.

— To kłamstwo — wybuchnął hrabia Werner — dwa dni temu opowiadał mi Alojzy, że on z hrabianką Dornbruch się zaręczył. Kłamiesz dziewczyno.

— Jeżeli przyszłaś po to, aby mi zabrać ostatnią pociechę w moim nieszczęściu i zachwiać moją wiarę w wierność mojej narzeczonej, to nie jesteś kobietą, tylko szatanem, z piekła.

Ilona wiedziała, że źle rozpoczęła.

— Jak Boga kocham, panie hrabio — zawołała podnosząc ręce do pół obnażonej piersi — nie chciałam pana oszukać. Jeżeli to nieprawda, to mnie także okłamano.

Niech pan hrabia nie traci do mnie zaufania. Jestem biedna cyganka, ale każda kropla krwi mojej wrze miłością ku tobie. Przysięgnij mi, że mnie pojmiesz za żonę, a będziesz wolny nim pierwszy kur zapieje.

— Jeżeli mam wolność okupić tem, by złamać serce najszlachetniejszego dziewczęcia moją niewiernością, to wolę w tym więzieniu siedzieć i czekać na śmierć — odpowiedział hrabia Werner z godnością.

— Panie hrabio, nie wiesz co mówisz. Szczęśliwe życie możesz mieć tu na górze. Gdy tylko wyjdziesz z tej pieczary, stajesz się właścicielem wielkiego majątku, a tu gnijesz jak nędzarz.

Jeżeli cię stąd uwolnię, będziesz panował jak książę. Przypomnij sobie w tym kamiennym grobie, gdzie kawki żadnej niema, te twoje piękne zielone pola i lasy. Co za cudny widok! Ile tam powietrza, a tu tak duszno i ciemno, a tam słońce i księżyc, gwiazdy i niebo.

Kusiła go jak szatan.

— To wszystko możesz mieć, gdy zechcesz. Dziś jeszcze jako wolny człowiek powitasz ze mną wschodzące słońce.

— Nie — odpowiedział Werner z siłą — nie złamię. Z moją ukochaną śmierć mnie tylko może rozdzielić. Rób ze mną teraz co ci się podoba, pogardzam tobą.

Przeraźliwy krzyk odpowiedział na jego słowa z ust cyganki.

— Pożałujesz — wrzasnęła — nie chciałeś mej miłości, będziesz czuł mą nienawiść.

. . . .

Gniewnym ruchem zasunęła granitową płytę nad otworem, potem zwinnie jak kot wdrapała się przez komin na dach, a z dachu po rynnie na dół. Tam się znowu ubrała i wróciła do obozu.

Ta Sylwia stoi mi na drodze do szczęścia — myślała. — Na Wisznu i Sziwa, ona musi zginąć. Zaprosiła mnie do siebie, więc pójdę, ale ze mną pójdzie do niej śmierć.

— — — — — —

W dżdżysty dzień jesienny wracał Leon przez ulice Wiednia do domu.

Cieszył się na myśl, że w ciepłym mieszkanku zastanie Hortensję i usłyszy jej miły szczebiot.

Zbliżywszy się do domu zobaczył ze zdziwieniem światło w salonie. Hortensja lubiła zwykle marzyć o szarej porze aż do jego powrotu. Dziś zrobiła inaczej.

— Musiała się nudzić — pomyślał Leon — pewnie zaświeciła lampę, żeby spędzić czas na czytaniu.

Wszedł na schody, a w przedpokoju złożył kapelusz i zarzutkę. Ze zdziwieniem usłyszał śmiech Hortensji i jakiś głos męski.

Przypuszczał, że to który z jego przyjaciół, lecz jakże się zdziwił, gdy otworzywszy drzwi zobaczył w pokoju zupełnie obcego mężczyznę w nader żywej konwersacji z żoną.

Gość na widok Leona był widocznie zakłopotany. Hortensja zaś z radością podskoczyła ku drzwiom i powitała go czule.

Zakłopotanie gościa rosło.

— Czemu zawdzięczam niespodziany zaszczyt pańskich odwiedzin? — spytał Leon.

— Przyszedłem właściwie nie do pana, tylko do tej pani — odpowiedział obcy z dziwnym uśmiechem — przypuszczam jednak, że się pogodzimy.

— Co to znaczy — zawołał Leon — pan do mojej żony?

— Żony pańskiej? — zdziwił się teraz obcy.

— A widzi pan — zawołała Hortensja — dlatego się tak śmiała, gdy pan mówił do mnie jak do panny.

— To już doprawdy nie wiem, co sobie mam myśleć — rzekł obcy z ogromnym i niekłamanym zdziwieniem. Mogłem tylko przypuszczać, że mnie pani w sposób nie dający się usprawiedliwić oszukała i nie mogę się powstrzymać, by nie powiedzieć, że gra była bardzo niebezpieczna, proszę pani.

Patrzał na Hortensję gniewnie i pogardliwie.

Leon zaś zmarszczył brwi i patrzał to na żonę, to na gościa.

Hortensja była bliską płaczu.

— Boże mój! Ja nic z tego nie rozumiem — rzekła — przed tym był pan taki grzeczny, a teraz nagle jesteś pan tak nieuprzejmy. I Leon także się gniewa? Czy znowu zrobiłam coś głupiego?

— Mój panie, proszę mi się wytłumaczyć — zaczął Leon ostro — skąd pan przychodzi do mojego mieszkania? Czy znał pan moją żonę dawniej?

— Nie, odpowiedział obcy ironicznie — przed pół godziną spotkaliśmy się na Kärntnerstrasse.

— A to co Hortensjo — zawołał Leon, co to było?

Hortensja wybuchła płaczem.

— Przecież nie zrobiłam nic złego — wołała — smutno mi było samej w domu, więc wyszłam trochę, żeby się przypatrzeć oknom wystawowym, a potym zabłądziłam i nie wiedziałam którędy wrócić do domu. Ten pan zaś był taki grzeczny, że podał mi ramię i zaprowadził mnie do domu.

— A ty przyjęłaś? — zawołał Leon oburzony.



W dwóch ostatnich dniach grudnia obchodzą swoją pierwszą rocznicę urodzin czworaczków rodziny Zimmerlein z Küps w Kronach. Dwoje z tych dzieci urodziło się 30-go grudnia, inne przyszły na świat w następnym dniu. Widzimy je tutaj w małych krzesłach sprawionych przez tatusia.

— Czy nie powinnam była przyjąć? — spytała zdziwiona.

— Dziecko, dziecko! Żebyś ty wiedziała do jakiej wściekłości ty mnie doprowadzasz swoją bezmierną naiwnością — jęknął Waldau. — Dlaczego nie wzięłaś sobie fiakra?

— Nie miałam pieniędzy przy sobie — broniła się Hortensja trwożliwie — i byłam zadowolona, gdy się ten pan nade mną zlitował.

— Teraz pojmiesz pan może moje postępowanie — wmieszał się obcy w rozmowę małżonków — gdy panu powiem, że żona pańska stała na rogu ulicy literalnie ze łzami w oczach i nie wiedziała, co ze sobą ma począć. W podobnym wypadku byłbyś pan także, ofiarował swoją opiekę tak pięknej, młodej osobie.

Okoliczność ta, że żona pańska bardzo chętnie i wdzięcznie przyjęła moje usługi, nasunęła mi przypuszczenie, nie bardzo dla niej zaszczytne i pochlebne. Przyznasz pan chyba sam, że nie było to zupełnie bezpodstawne.

— Hortensjo — wyjęknął Leon nie mogąc się opanować — cóżeś ty najlepszego zrobiła? Nie masz pojęcia, jaki nietakt popełniłaś.

— Lecz ja zawsze jeszcze nie wiem, jakim sposobem dostałeś się pan do mego mieszkania? — zapytał zwracając się do obcego natręta.

— Wszedłem tu na żądanie małżonki pańskiej — odparł tenże — zaprosiła mnie na filiżankę herbaty.

Leon tak był nieprzytomny z gniewu, że nie zdobył się nawet na odpowiedź i tylko chodził po pokoju z załamanymi rękoma.

— Kochany, drogi Leonie — zawodziła Hortensja — nie chciałam przecież nic złego zrobić. Prosząc tego pana na herbatę, chciałam się tylko poprawić, bo wszakże gniewałeś się na mnie, gdym onegdaj przyjaciela twego Franciszka nie zaprosiła. Ale widzę, że ci tem znów nie dogodziłam!

To mówiąc zaczęła tak żałośnie zawodzić; była z tem tak dziecinną i otoczoną takim nimbem niewinności i czystości, że złośliwy i ironiczny wzrok obcego spoczął teraz na niej pół litościwie, pół z podziwem i uszanowaniem.

— Mój panie — zwrócił się Leon do obcego gościa — widzisz pan teraz, że masz do czynienia z niewinnym dzieckiem, które grzeszy tylko zbytkiem naiwności. Mam nadzieję, że żona moja jest zupełnie usprawiedliwioną w oczach pana i że nie pozostał w panu ślad tego krzywdzącego ją podejrzenia, które ściągnęła na siebie li tylko wielką swą nieświadomością i nieznajomością świata. Gdybyś pan jednak miał jeszcze jakie wątpliwości, to jestem każdej chwili gotów bronić honoru swej żony własnym swem życiem.

— Chciałem właśnie prosić żonę pańską o przebaczenie — rzekł obcy solennie. — Ja ponoszę sam winę tego nieszczesnego przypadku.

Ani cień nagany nie może paść na stworzenie tak anielskiej czystości. Robię sobie ciężkie wyrzuty, że mogłem okazać tak mało znajomości ludzi i posądzać tę niewinną istotę o maskowanie się, udawanie, a nawet zwiedziony fałszywymi przypuszczeniami znalazłem się tak nierycersko.

Zbliżywszy się do Hortensji, z uszanowaniem pocałował ją w rękę.

— Przepraszam panią z całego serca — rzekł wzruszony — za obelgę, którą pani w duszy uczyniłem. Jedynym moim uniewinnieniem jest, że nie mogłem uwierzyć, aby taka anielska niewinność mogła rzeczywiście istnieć w naszym zepsutym, przewrotnym świecie. Proszę nie płakać, moja droga pani — dorzucił, pocieszając się dobrotliwie — mąż pani nie może serjo gniewać się na panią. Musi być przecież dumny i szczęśliwy, że posiada takiego anioła.

W czasie tego oświadczenia, mina Leona wypogodziła się widocznie. Przystąpiwszy do obcego, z uprzejmym u-

śmiechem podał mu rękę i tak się do niego odezwał:

— Muszę panu przyznać, żeś się pan znalazł jak prawdziwy człowiek honoru. Bardzobym się cieszył, gdyby znajomość nasza poczęta wśród tak przykrych okoliczności, trwała nadal i zatarła tamte przykre wrażenia i wspomnienia. Radzę więc panu teraz, jako gospodarz, abyś raczył z nami wypić szklaneczkę herbaty. Żona moja do tej prośby się przyłącza.

Objąwszy żonę czule, Leon szepnął jej coś do ucha, czem widocznie ją rozbroił, bo zaraz przestała płakać, podała gościowi rękę i prosiła:

— Zostań pan z nami, bo raczej pomyślę doprawdy, że pan nną pogardza za to, żem takie głupstwo popełniła.

Gość skłonił się przed młodą parą, dodając:

— Z największą wdzięcznością przyjmuję łaskawe zaproszenie, a czynię to nie tyle z chęci odpokutowania za nieuzasadnione podejrzenie, ile że pragnę ustalić naszą znajomość. Pozwólcie państwo, że się wam przedstawię: asesor Klemens von Feldern.

— Leon Waldau — odwzajemnił Leon uprzejmość obcego — obecnie dopiero jestem słuchaczem praw i mam zamiar złożyć egzamin sędziowski. Mimo to jestem już w kojdanach małżeńskich jak pan widzisz — dodał, wskazując ręką na swą żonę.

— A teraz, skarbie mój, postaraj się o świeżą herbatę — zwrócił się do Hortensji — ta, którą przed tym nalałaś, jest już pewnie nie do picia z powodu naszej długiej przeprawy. Przyślij też flaszkę szlachetniejszego napoju, może dobrego czerwonego wina, abyśmy mogli zapić godnie naszą nową znajomość.

Hortensja, która w dziecinnym swym usposobieniu prędko zapomniała niemiłe przejście dnia dzisiejszego i nie robiła sobie żadnych skrupułów ze swego wykroczenia przeciwko formom towarzyskim wyszła pospiesznie, a obaj panowie usiedli przy zakrytym stole.

— Panie von Feldern — zwrócił się Leon poufnie do swego gścia — chcę wyjaśnić panu dziwne zachowanie się mojej żony i dlatego opowiem panu w krótkości historię jej życia. Hortensja żyła w takiej samotności, że prócz opiekunów swych nie miała przez długie lata styczności z żadną żywą duszą.

— Dopiero przez zamążpójście swe, przed trzema tygodniami, weszła w świat i teraz dopiero zaczyna poznawać świat i życie.

— Dałby Bóg — odpowiedział Feldern — aby żona pańska, zdobywając większą znajomość ludzi i stosunków, zachowała tę czystość serca i szczerość dziecięcą, która obecnie ją tak zdobi.

Powrót Hortensji przerwał rozmowę. Za nią weszła dziewczyna i przyniosła na tacy dzban świeżej herbaty, wraz ze szklankami. Młoda gosposia ustawiła wszystko na stole i robiła honory domu w zachwycający sposób, mimo, że zdradziała pewną nieśmiałość. Leon pomagał jej, a wielkoświatowe maniery Waldaua, dodane do naiwnej piękności jego żony, sprawiały na asesorze jak najmilsze wrażenie. To też i on w krótce okazał się jako uprzejmy i zabawny towarzysz. Jego zaufanie wzbudzające wystąpienie sprawiło, że Hortensja pozbyła się nieśmiałości swojej i zaczęła swobodnie gawędzić we właściwy sobie sposób. Na prośbę Leona zaśpiewała kilka piosenek, a Feldern zachwycał się jej głosem i sposobem oddania melodii.



W związku z uroczystościami weselnymi, zapalił książę Bernard Lippe — Biesterfeld w Hadze ogień weselny, który płonął aż do dnia ślubu, t. j. do 7 stycznia 1937.

— Kto panią dotychczas uczył? — zapytał zdziwiony niejako zupełnym brakiem szkoły, który w śpiewie jej odbijał się.

— Nigdym się nie uczyła — odparła Hortensja, mocno zaambarasowana — śpiewam tylko ze słuchu, a do ostatniej piosenki, którą teraz śpiewałam, dorobiłam sama melodię.

— Co za niezwykły talent muzykalny — wykrzyknął Feldern, z niekłamanym podziwem — czyś pan jeszcze nie pomyślał o tem, panie Waldau, by wykształcić żonę w tym kierunku?

— Dotychczas cieszyłem się śpiewem Hortensji tak, jak świergotaniem ptaszat — odparł Leon — zdaje mi się jednak, że przez naukę głos jej mógłby się pięknie rozwinąć. Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, kto tu najlepiej uczy śpiewu?

— Niezaprzeczenie Umberto Gellini, dawniej sławny śpiewak operowy — rzekł Feldern — stracił on wprawdzie swój cudny głos, ale jest za to wytrawnym nauczycielem.

— Jest więc rzeczą postanowioną u mnie, że jutro poproszę signora Gelliniego, aby ukultywował trochę świergot mego leśnego ptaszka.

Hortensja zdawała się być przestraszoną tym projektem swego męża, ale nie miała odwagi sprzeciwiać mu się. Feldern zaś spostrzegłszy zalęknioną jej minę, pocieszał ją dobrotliwie:

— Gellini nie jest człowiekiem, któregoby się pani obawiać musiała. Nie jest on już młodym, a przy tym jest najsympatyczniejszym człowiekiem pod słońcem. Jest on tak ojcowsko dobrym dla młodych swych uczenic, że wszystkie one zachwycone są swoim mistrzem. Przed 20 a nawet 15 laty jeszcze miał on być bardzo niebezpiecznym dla płci pięknej, bo był pięknym, jak Apollo i posiadał tak miłe usposobienie, że mu się nikt oprzeć nie mógł, lecz to są dawi niepowrotne czasy.

— Gellini postarzał się przedwcześnie i widocznie jakiś głęboki smutek go trapi, bo jest zawsze dziwnie smętnym, prawie melancholijnym. Pewno nie może przeboleć stratę swego głosu i tak rychłego końca artystycznej swej kariery. Lecz romantyczna, awanturnicza przeszłość jego, dziś już jest tylko legendą, a samotne życie jego jest poświecone li tylko sztuce.

Widocznie los mistrza nie zajął bardzo Leona, bo podczas opowiadania dolał sobie i swemu gościowi wina i zapalił cygaro hawańskie.

Hortensja za to słuchała opowiadania Felderna z natężoną uwagą. Poznawszy Gelliniego z opisu, nie bała się więcej jego znajomości. Przeciwnie, myślała nawet z przyjemnością o poznaniu się z tym biednym i smutnym człowiekiem, dla którego już z góry miała sympatię i współczucie. Przy tym bajecznie cieszyła się z lekcji śpiewu, bo muzykę kochała nade wszystko.

Było już dość późno, gdy się Feldern pożegnał. Pociągnięty swobodnym i sympatycznym tonem panującym w domu Waldaua, zatrzymał się u niego dłużej, niż myślał. Teraz wracał głęboko zamyślony do swego kawalerskiego mieszkania.

Był to mężczyzna lat przeszło trzydziestu, posiadający wiele doświadczenia, nabytego w burzliwej swej młodości.

Będąc wielkim przyjacielem płci pięknej, przeszedł niejedną już awanturę miłosną, miewał stosunki, stosuneczki, a jednak musiał przyznać, że nie spotkał nigdy kobiety, którąby na nim tak silne wywarła wrażenie, jak Hortensja. Jej anielska piekność, podniesiona jeszcze urokiem, jaki daje niewinność i czystość, — formalnie oczarowała go.

Niebiańska jej dusza, poruszyła na nowo najszlachetniejsze struny jego serca. Czuł się dziwnie wzruszonym, gdy o niej myślał.

Obraz jej nie opuszczał go. Wątpił on, czy młody i niedojrzały jeszcze, niedoważony małżonek nadaje się do tego, by być opiekunem, a bardziej jeszcze wychowawcą i mentorem dziecka. To też w przystępie uczucia, które sam miał za bardzo wspaniałomyślne, Feldern poprzysiągł sobie czuwać nad nią, o ile to będzie w jego mocy.

Przedsięwzięcie to ułatwił mu sam Waldau, prosząc go, by jak najprędzej do nich zaglądnął.

Gdy się gość pożegnał, usiadł Leon, ziewając, na kanapę, zawołał żonę i rzekł, bawiąc się jej lokami:

— No, skarbie mój, dziś wybryk twój miał przynajmniej miłe następstwa. Feldern jest porządnym człowiekiem. Obcowanie z nim jest mi na rękę, może on mi też być bardzo pomocnym przy egzaminach, które mam zdawać.

— Kochany Leonie — prosiła Hortensja, wpatrując się w niego niebieskimi oczyma — nie gniewaj się na mnie za tę nieprzyjemność, którą ci znów głupotą swoją wyrządziłam. Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego to takie nietaktowne było, żem przyjęła opiekę pana von Feldern i że go później na herbatę zaprosiłam. Musisz mi to wyjaśnić, jeśli nie chcesz, żebym znów kiedy podobnego bąka nie strzeliła.

Oparta o męża swego, czekała ciekawie na odpowiedź, ale Leon uśmiechał się tylko.

Wahał on się zatruć niewinną duszę swej żony. Dlatego ociągał się o ile mógł, z objaśnieniami co do zepsucia, panującego na tym brzydkim świecie. Z drugiej strony znów nie był w humorze do moralno-filozoficznych wykładów. Dlatego wziął żonę swą na kolana i pieścił i bawił się z nią jak z dzieckiem.

Czy miał on świadomość tego, jaki skarb posiada? Czy poznawał się na szlachetnym charakterze Hortensji?

A może kochał on tylko jej piękność, oryginalność i wdzięk dziecinny, a nie rozumiał się na wewnętrznej jej wartości?

Czas i różne koleje losu pouczą nas o tym.

ROZDZIAŁ LI
U mistrza

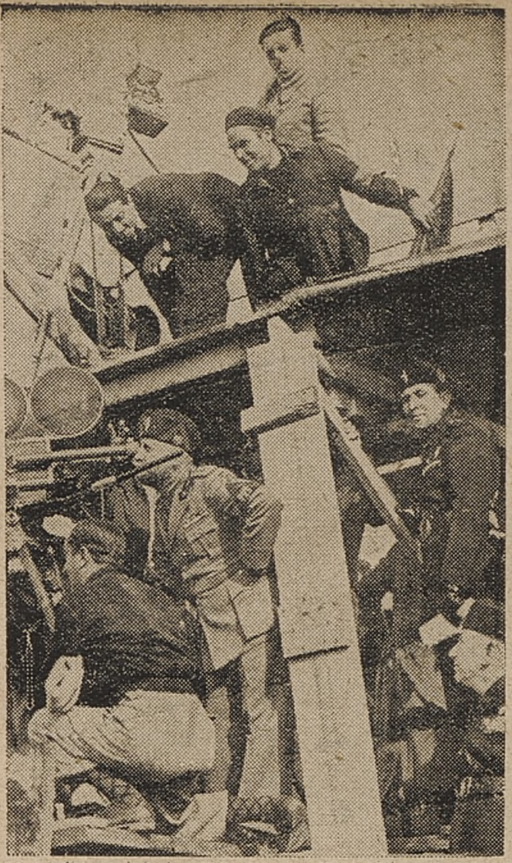
Przy starym rzeźbionym biurku siedział w podeszłym już wieku mężczyzna, pochylający bardzo siwą głowę nad papierem, który szybko zapisywał.

Całe urządzenie pokoju było w stylu odrodzenia i robiło trochę ponure wrażenie. Ściany pokryte były ciemnymi tapetami, nad drzwiami i oknami wisiały również ciemne i ciężkie portiery, meble były rzeźbione z ciemnego drzewa, a nawet obrazy na ścianach były posępne, pozbawione ciepłego kolorytu i nie uwydatniały się dobrze w jednostajnej oprawie.

W zupełnej harmonii z otoczeniem była też powierzchowność piszącego mężczyzny. Był on ubrany zupełnie na czarno. Oblicze jego o szlachetnych i pięknych rysach, których czystość przypominała wspaniałe formy starożytnych posągów, były śmiertelnej, trupiej bladości.

Włosy jego, okalające w długich lokach wspaniały owal głowy, bardzo już były przyprószone siwizną, mimo, że jedwabisto-miękkie wąsy były jeszcze hebanowo-czarne.

Najpiękniejsze w niezwykłej twarzy jego były oczy z dziwnie głębokim wyrazem. Było w nich tyle marzeń, melancholii, rezygnacji i beznadziejnego pogodzenia się z losem; tyle spokoju, mogącego istnieć tylko w krainie wiecznego zapomnienia.



W Italii produkuje się obecnie film historyczny p. t. „Scipio Afrykański", ilustrujący działanie tego słynnego wodza wojny. W tych dniach Mussolini brał również udział w wykonywaniu zdjęć. Na zdjęciu widzimy go przy kamerze.

Portiery odchyliły się i do pokoju wsunął się cichutko mały człowieczek o ostrych południowych rysach, odziany w skromną liberię.

Był to służący i czekał cierpliwie, dopóki pan jego nie podniesie głowy od roboty.

Gdy jednak wyczekiwanie jego było daremne, przemówił do piszącego w języku włoskim:

— Signore, jest tu jakiś pan, który chciałby się rozmówić co do lekcji śpiewu dla jakiejś młodej damy.

— O, Luigi — jęknął pan, posługując się również językiem włoskim — czy nie mogłeś ich odprawić? byłbym tak chętnie pracował bez przeszkody.

— Nie byłby ich pan nawet sam odprawił, gdyby zobaczył tę młodą damę — odparł Luigi — wygląda ona przecudnie.

Umberto Gellini odłożył papier nutowy, na którym spisywał jedną ze swych smętnych kompozycji i kazał prosić ich do salonu, ale wnet po oddaleniu się służącego, pochylił się znów nad swoją kompozycją i zapomniał o całym świecie.

Luigi wrócił do poczekalni, gdzie pozostali Leon i Hortensja i poprosił ich łamaną niemieczczyzną, żeby poszli za nim.

Zaprowadził ich do dużego, jasnego pokoju. Była to widocznie sala muzyczna, bo oprócz fortepianu nie było tam prawie żadnych mebli i portier, które dźwięk przytłumiają.

Po czym, znając marzycielstwo i roztargnienie swego pana, wrócił do pracowni Gelliniego, aby przypomnieć mu, że ma wobec czekających pewne zobowiązania.

Mistrz zerwał się, jak gdyby z głębokiego snu, gdy mu służący przypomniał czekających gości.

Zamyślony gładził włosy, po tym wstał i poszedł do drugiego pokoju.

Gdy wszedł, Waldau i Hortensja wstali z miejsca. Waldau przedstawił się i prosił, żeby mistrz był łaskaw udzielać jego żonie lekcji śpiewu.

Gellini poprosił gości eleganckim, niedbałym ruchem, żeby znów usiedli. Przelotnie tylko popatrzył na Hortensję, po tem cichym, jakby zamarłym głosem powiedział Leonowi:

— Chętnie jestem gotów udzielać lekcji żonie pańskiej, ale przyjmuję tylko utalentowanych uczniów i proszę przeto, aby żona pańska poddała się małemu egzaminowi.

— Z przyjemnością żona moja zgodzi się na to — odpowiedział Leon pewny, że Hortensja wyjdzie zwycięsko z tej próby.

Teraz dopiero Gellini spojrzał znowu na młodą kobietę i dziwne jakieś zdziwienie odbiło się w jego pięknej, smutnej twarzy. Natychmiast jednak znikło i mistrz rzekł uprzejmie:

— Niech pani będzie łaskawa zdjąć kapelusz i welon, bo to przeszkadza w śpiewie.

Hortensja posłusznie zdjęła maleńki filcowy kapelusz, który nosiła nasunięty na czoło i gęsty czarny welon.

Ledwie mistrz zobaczył jej rysy, gdy wydał okrzyk zdumienia i osłupiałym wzrokiem patrzał na młodą kobietę.

Leon był zdziwiony, Hortensja zakłopotana i onieśmielona.

Blada twarz Gelliniego przybrała naturalny rumieniec, a oczy rozszerzyły się jakby w strachu.

— Jak takie podobieństwo jest możliwe — wykształcił nareszcie.

Moje dziecko, zwrócił się do Hortensji — pani mogłaby być moją córką, taka jest między nami różnica wieku. Niech mi pani zatym wybaczy moją niedyskrecję. Kto są rodzice pani?

— Nie żyją już — odpowiedziała Hortensja, której udzielało się wzruszenie mistrza.

— A jak się nazywali? — spytał Gellini.

— Fellhuber — natychmiast odpowiedział Leon, któremu wszelkie wspomnienie nieprawego pochodzenia Hortensji było bardzo niemiłe.

Artysta usłyszawszy to mieszczańskie nazwisko, ostygł natychmiast w zapale. Westchnął tylko i słów kilka wyrzekł w języku ojczystym.

Po tym dopiero zwrócił się z miną światowca znowu do gości i rzekł:

— Proszę mi wybaczyć, dziwne to moje zachowanie. Ogromne podobieństwo pani z dawną moją znajomą kazało mi przypuszczać, że może mam przed sobą córkę swojej dawnej przyjaciółki.

Leon był zadowolony tym wyjaśnieniem, ale Hortensja z litością patrzyła na tego człowieka, którego ręce drżały jeszcze z powstrzymanego wzruszenia, a oczy błyszczały ukrytym ogniem.

Ciąg dalszy na str. 33.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

Wszystkim Kochanym Sympatykom, którzy okazali nam pamięć, czy to w postaci życzeń gwiazdkowych, czy też noworocznych — ślemy z głębi serca szczere podziękowanie.

Zofja i Wujek Janusz.

KTO WIE...

„Złota Hrabianka". Niedobry los zabrał Pani może na zawsze przyjaźń drogiej osoby, ale kto wie, czy najbliższa przyszłość nie powetuje Pani tej straty. W życiu stale coś się zmienia — przypływa i odpływa, a nigdy nie stoi nic w miejscu i trwa niewzruszenie... Z tym trzeba pogodzić się, bo walka byłaby tak daremną, jak daremny jest obecny żal Pani za tym, co już nie wróci może...

Część liściku Pani zamieszczam z serdecznym życzeniem, aby nadzieje Pani już wkrótce spełniły się:

„Moje Powieści" zaabonowałam, bo wiem, że znajdę dzięki nim ukojenie, a może nawet szczerą przyjaciółkę lub przyjaciela, z którymi mogłabym gwarzyć listownie o pięknie natury, o radości życia, o wszystkiem, co nas otacza, a co kocham szalenie. Mówią, że moja wesołość jest zaraźliwą dla otoczenia i dlatego to otoczenie nazwało mnie „Złotą Hrabianką". Jestem małą, szczupłą blondynką. Czuję, że potrafiłabym dodać bodźca do natchnień „Tricotrinowi" i chciałabym rozjaśnić wizję przyszłości „Orliczowi". Temu ostatniemu poświęcam poniższy wierszyk:

Czemu tak smutną śnisz przyszłość, „Orliczu"?
Wśród burz zawici, wśród wichrów i gromów,
Gdy serca dwa żaru zapłoną zniczem,
Nie straszne są ściany własnego domu.
A jeśli nawet przyjdą takie chwile,
Gdy ból silniejszy jest ponad modlitwę,
To wiedz, że w dwóch zawsze milej
Walczyć i znosić dni życia gonitwę.



Przemiła **„Wenus"**, jedna z najpopularniejszych Sympatyczek „Krainy", odtańczyła przed chwilką ognistego kujawiaka, a teraz przesyła w naszą stronę uroczy dyg.

JAK WYOBRAŻAM SOBIE P. ZOFIĘ?

„Marek". Uśmiałam się szczerze z słów Pana — już dawno nie otrzymałam tak „morowego" listu. Dziękuję!

A teraz, jak mnie sobie Pan wyobraża:

„W jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści". wyczytałem apel „Erosa", ażeby każdy nadesłał opis, jak sobie wyobraża p. Zofię. Jest to swoją drogą sztuka nielada i jak widzę „Eros" ma naprawdę szczere chęci uczynić z nas wszystkich coś w rodzaju Szyllera-Szkolnika, który potrafi człowieka tak „odmalować" że klękajcie narody.

No ale dość o Szylerze — Szkolniku, spróbuje teraz ja „odmalować" Panią:

Baśka Wołodyjowska, to kobieta 100 proc. „do tańca i do różańca", potrafi dosiadać konia, machać szabelką i zawracać siwą, łysawą łepetynę panu Onufremu Zagłobie, Eunice zaś z „Quo vadis" potrafi, jak rzadko która kobieta, bezgranicznie, całym sercem kochać swojego ukochanego i razem z nim umrzeć.

Wrzućcie Baśkę i Eunice do wielkiej czary, wymieszajcie laską czarodziejską, a ukaże się p. Zofia taką, jak ją sobie wyobrażam".

Jestem zachwycona „Marku", swoim portretem w Twojej interpretacji, tylko... trochę niepodobny. Może ktoś inny „odmaluje" mnie trafniej — czekam z wielkim zainteresowaniem.

„KOCHAM ŻYCIE"...

„Słodka Danuś". W numerze świątecznym zobaczyliśmy już miłą twarzyczkę Pani, a dzisiaj przeczytamy sobie Jej liścik:

„I ja, jak tylu innych Sympatyków, chcę znaleźć się w „Krainie".

Jestem jeszcze bardzo młodą i podobno przystojną blondynką. W ubiegłym roku ukończyłam gimnazjum i obecnie pracuję w kancelarii ojca. Praca moja daje mi pełne zadowolenie wewnętrzne, dlatego też pracuję chętnie i z zapałem. Kocham życie, bo wiem, że poza cierpieniami moralnymi i fizycznymi, jakie często spadają na człowieka, są jeszcze chwile niewysłowionego szczęścia, które nagradzają wszystkie cierpienia.

A teraz coś niecoś dla Sympatyków:

„Iste - Wenus" i „Tajemniczej Księżniczce" przesyłam moc serdeczności.

Hallo! „Cis"! Zaimponowałeś mi tem, że nie znasz słowa „nudy" — ja również! Ucieszę się, jeżeli do mnie napiszesz.

P. A. G. Nowopólno! Bardzo lubię strony, które Pan zamieszkuje, może mi Pan prześle z nich kilka słów?

„Marzycielu z nad Noteci"! Chętnie nawiążę z Panem korespondencję, ale pod warunkiem, że napisze Pan pierwszy.

Hallo! „Lawrence"! Może i Ty prześlesz mi króciutki liścik? Odpowiedź pewna!

Moc uśmiechów, wypełnionych milionami jasnych i ciepłych promyczków, przesyłam wszystkim wyżej wymienionym, a oprócz tego jeszcze: „Rychowi", „Iwasiowi z Pałuk", „Willy'emu" i wszystkim Poznańczykom".

„JESTEM OGROMNIE SMUTNĄ I PRZYGNĘBIONĄ"...

„Smutna Halunia z Pomorza". W sprawach sercowych musi każdy decydować samodzielnie, dlatego wstrzymuję się, Miła „Haluniu", od wszelkich rad. Swoją drogą proszę Cię, abyś doniosła mi w następnym liście o swoich postanowieniach — czy zgoda?

Króciutki wyjątek z Twego liściku, nie przeznaczony dla mnie, przedrukowuję:

„Będę bardzo wdzięczną temu, który do mnie napisze. Jestem blondynką po dwudziestce, posiadam bardzo niebieskie oczy. Poza tym jestem ogromnie smutną i przygnębioną — może mnie ktoś pocieszy?

Łączę miłe pozdrowienia dla: „Samotnej Klaruty" i Jej siostry — Zochy, „Samotnego Roma", „Śledzia Pomorskiego", Iwasia z Pałuk", „Bolka z Bydgoszczy" i „Morskiego Wilka".

KOMU ZALEŻY NA SERDECZNEJ, PRZYJACIELSKIEJ WYMIANIE MYŚLI?

„Lusia — Szczebiotka". Wzruszyłaś mnie bardzo, Kochana Dziewczynko, swoimi życzeniami. Chociaż na odległość ściskam Cię za nie serdecznie i również życzę Ci wszystkiego najlepszego.

Otrzymałaś posadę — szczerze Ci, „Lusiu", gratuluję! Praca wypełni Ci życie i zastąpi nawet niejedną przyjemność. Móc pracować, to wielkie szczęście — o tym zapewnie już się przekonałaś, prawda? Napisz wkrótce znowu!

Na zakończenie odpowiedzi udzielam Ci jeszcze, „Lusiu", głosu:

„Przykro mi, że pomimo apelu, nikt do mnie nie napisał, a tak chętnie pogwarzyłabym skimś w długie, zimowe wieczory. Apeluję więc jeszcze raz do tych wszystkich, którym zależy na serdecznej, przyjacielskiej wymianie myśli, aby napisali do mnie. Może pofatyguje się „Marek", może „Helena"? Czekam!"

DZIĘKUJĘ!

„Maruta". Ostatni Twój liścik, „Maruto", podyktowany dobrym serduszkiem, ujął mnie bardzo. Jesteś za dobrą, Kochanie, w swych wyobrażeniach o mnie — boję się nawet, że nie zasłużyłam sobie na tyle szczerych uczuć, jakimi mnie darzysz. Dziękuję Ci za nie stokrotnie i mocno ściskam!

A teraz jeszcze kilka słów dla Przyjaciół Twoich:

„Mała Konwalijko", moja milucha Siostrzyczko patrzmy pogodnie w życie i żyjmy nadzieją, że Bóg nam pomoże...

„Złoteńko", dziękuję Ci za przesłane mi pozdrowienia i cieszę się, że posiadamy jednakowe imię.

Wszystkim Panom z „Krainy", którzy przesłali mi pozdrowienia, dziękuję za pamięć i również ślę Im pozdrowienia".

POZDROWIENIA W PEŁNI ODWZAJEMNIAMY

„Marusia" i „Zonia". W pierwszym rzędzie dziękuję Paniom, w imieniu Wujka Janusza i swoim, za serdeczne pozdrowienia, które w pełni odwzajemniamy.

Liścik, ilustrujący życie Pań, zrobił na mnie miłe wrażenie. Życzę Paniom jak najwięcej tej beztroskiej pogody życia i mocno, mocno ściskam Paniom na pożegnanie łapki. Nie zapominam również o dopisku:

„Zrozpaczonej Maryli", „Nelli", „Złoteńku", „Haroldowi Lloyd'owi", „Wikonowi" i „Oryginałowi" ślemy moc pozdrowień".

HALLO! „ZDRADZONY"!

„Dziewczynka I." nadesłała na moje ręce kilka następujących słów:

„Hallo! „Zdradzony"! Czy jeszcze należy Pan do „Krainy"? O ile tak, proszę, niech Pan zaraz do mnie napisze!

Moc pozdrowień ślę: „Smutnemu Waldemu" „Jastrzębiowi", „Merkuremu" i „Markowi".

KORESPONDENCJA

„Podszamotulanka" przedstawia się bardzo lakonicznie:

„Jestem szatynką średniego wzrostu, lat 21. Pragnę z kimś korespondować, czy napisze ktoś do mnie?

Pozdrawiam wszystkich Czytelników „Moich Powieści" z Szamotuł i okolicy".

ŻYCZENIU NIE MOGĘ UCZYNIĆ ZADOŚĆ

„Aloha". Na listy moich Sympatyków, nie odpowiadam nigdy listownie, ale zawsze na łamach „Krainy", dlatego też nie mogę uczynić zadość życzeniom Pani.

Byłam mile zdziwiona rymowanym liścikiem Pani. Odkąd prowadzę „Krainę", nie otrzymałam podobnego. Dziękuję Pani za niego!

Z nadesłanych wierszyków wybrałam do druku dwa: „Stary las" i „Nie warto marzyć!" Jeden z nich zamieszczę w następnym numerze i równocześnie proszę Panią o nadsyłanie dalszych wierszy do „Teczki Wujka Janusza".



„Smutna Stenia z pod Grudziądza" jest śliczną i miłą dziewczynką, o czym zresztą mówi dość wyraźnie zareprodukowane wyżej zdjęcie.

SMUTEK I SAMOTNOŚĆ

„Mulatka z Pomorza". Smutno Pani na świecie i tak dziwnie głucho, a więc postaramy się, aby było lepiej. Z przyjemnością odbiorę każdy liścik Pani może więc Pani śmiało i szczerze o wszystkiem do mnie pisać. Sympatyków „Krainy" proszę, aby przesłali Pani moc radosnych słów, takich, które rozpogodzą serce i wleją w nie wiarę w lepszą przyszłość. A teraz jeszcze kilka słów z listu Pani:

„Jestem sobie, ot, takim zwykłym, szarym stworzeniem, czarnym, jak noc. Nie potrafię tańczyć, ale kocham muzykę, nie lubię kina i nie maluję się, jestem zupełnie zadowolona z swego zewnętrznego, naturalnego wyglądu. Wolne chwile, których, niestety ,posiadam mało, przeznaczam na czytanie książek. Mieszkam na wsi. Czy znajdzie się w „Krainie" ktoś, który zainteresuje się mną i napisze do mnie? Może „Oryginał"? Odpowiedź dam natychmiast! „Czarnulce z Grudziądza" i „Iksuni z Grudziądza" — przesyłam siostrzany uścisk dłoni".

W POSZUKIWANIU BRATNIEJ DUSZY

„Ninette". Witam Panią serdecznie w „Krainie" i pragnę, aby nasza, świeżo nawiązana przyjaźń, rozwijała się nadal pomyślnie. Apel Pani zamieszczam:

„Obecnie, po ukończeniu szkoły, mam więcej czasu, więc chciałabym korespondować z jakimś miłym, inteligentnym panem.

Jestem Torunianką, ale zamieszkuję w Bydgoszczy — młodą, wysoką brunetką. Kocham kino i teatr, lubię miłe towarzystwo. Odczuwam dotkliwie brak bratniej duszy. Czekam niecierpliwie na pierwsze listy od nieznanych. Serdeczne pozdrowienia zasyłam dla „Ny — czara".

„NIE SPOTKAŁAM JESZCZE W ŻYCIU ŻYCZLIWEJ I ODDANEJ MI DUSZY"...

„Samotna Indianka". List Pani zamieszczam w całości, z nadzieją, że zainteresuje kogoś i zachęci do napisania do Pani kilku słów:

„Pragnę nawiązać miłą korespondencję z Sympatykami „Krainy", gdyż przez dłuższy czas nie wymieniałam z nikim swych myśli.

Ogromnie tęsknię za duszą życzliwą i oddaną mi, a takiej jeszcze dotychczas w życiu nie spotkałam.

Urodziłam się zagranicą, lecz dłuższy czas już przebywam w Polsce. Mieszkam w cichej wiosce pomorskiej, w okolicy lesistej. Wiosną i latem jest tu bardzo pięknie, ale zimą pusto i smutno. Nastrój ten udziela się wtedy i mnie — chciałabym zniknąć gdzieś, unieść się, jak orzeł, wysoko, byleby tylko nie czuć tego smutku i bólu, jaki na mnie spływa.

Czy napisze ktoś do mnie pogodnie? Czekam z serdeczną nadzieją, że tak!"

ADRES POSIADAM

„Kuna Leśna". Adres, o który Pani chódzi — posiadam. Czy jeszcze prowadzi Pani życie koczownicze, czy już ustaliła się Pani w Ż.

Co do mego nazwiska, muszę Panią wyprowadzić z błędu, gdyż nie nazywam się tak, jak Pani podała.

Na zakończenie pozdrawiam w imieniu Pani: „Terenię z Szlacheckiego Dworku", „Córkę Wichru", „Złoteńko", „Marutę", „Jenny", „Czarnulkę z pod Śremu", „Kapłankę Wschodu" „Edwarda VIII.", „Esperantystę z Poznania", „Optymistę Sir", „Wilka Morskiego" i „Żołnierzyka z Grodu Lecha".

ŻYCZENIA

„Przedwiośnie". Życzę Ci, Kochanie, w tym Nowym Roku, aby wszystkie Twoje zmartwienia i smuteczki, odeszły za „siódmą górę i za siódmą rzekę", a w serduszku Twoim zapanowała znowu pogoda. Napisz do mnie znowu, Kiziu i nie zapomnij, proszę, donieść mi, jak spędziłaś święta Bożego Narodzenia!

„Post scriptum" zamieszczam:

„Wikonie", rozumiem Cię doskonale i uśmiecham się do Ciebie przyjaźnie. Czy odpłacisz mi tym samym?

„Kapłanko Wschodu", pozdrowienia Twoje odwzajemniam. Czy mogę liczyć, choć na króciutki liścik?"

PROSBOM UCZYNIŁAM ZADOŚĆ

„Samotna Sosna". Zainteresowała mnie Pani swoimi poglądami — tak mało spotyka się podobnych. Cieszę się, że pragnie Pani należeć do naszego grona i darzyć mnie przyjaźnią — już dzisiaj zawieram z Panią pakt, który odkłada Pani na „najbliższą przyszłość".

Pierwszej prośbie Pani uczyniłam zadość w numerze świątecznym „Moich Powieści", drugiej czynię dzisiaj, t. zn. zamieszczam dopisek z listu Pani:

„Blanko", czy byłaś kiedyś na letnisku w Orłowie? Zdaje się, że znamy się...

Moc pozdrowień załączam dla „Alohy".

WIDZĘ CIĘ...

Widzę Cię... dumasz... noc trwa —,
Patrzysz w cień za taflą szyb...
Nagle z ust twoich krzyk
Rozległ się, jak brzęk szkła.

Widzę Cię... dumasz... noc trwa,
W oczach masz dziwny lęk,
Jakby świat nagle pękł,
Lub śmierć upiorna szła.

Widzę Cię... dumasz... noc trwa,
Boisz się, mała, czego?...
Tych białych płatków śniegu,
Lecących jak ćma?...

Tadeusz Rawicki.

ZACHWYT PODZIELAM

„Taki jeden". Na postawione mi pytanie, nie mogę dać Panu, niestety, wyczerpującej odpowiedzi, gdyż o zamieszczonym fotosie, w nr. 51, wiem tylko tyle, że przedstawia on jakąś zagraniczną, filmową gwiazdkę. Zachwyt Pana podzielam, gdyż i na mnie, tak fotografia, jak i zamieszczony obok niej wierszyk, uczyniły pewne wrażenie. Za szczere życzenia dziękuję! Polecenie — wypełniłam!

SZKODA...

„Arnisia". Liścik Pani dostał się nieco za późno do moich rąk, dlatego nie mogłam zamieścić notatki Pani, a szkoda, bo może któraś z smutnych Sympatyczek „Krainy", miałaby weselsze święta.

A teraz żegnaj, „Basieńko" i pomyśl znowu kiedyś o mnie. Dopisek Twój zamieszczam:

„Cesiu z Laskowic", dla siostrzyczki Zosi, ślę moc buziaków i... czy jeszcze pamięta Basię z czasów szkolnych w Grudziądzu?

„Duśce" ślę pozdrowienia. Czy domyślasz się, „Dusiu", kto Ci je przesyła. Dla siostrzyczek Heli i Lucy, ślę także pozdrowienia".

PRZYJĘŁAM DO WIADOMOŚCI

„Śmieszka". Treść liściku Pani przyjęłam do wiadomości. Proszę o dalszą pamięć i serdecznie Panią pozdrawiam. Dopisek Pani oddaję do przedruku:

„Sylwanette" dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści" ślę moc miłych pozdrowień".

ADRESY!

„Zew Chiński", „Smutna Ela", „Leśniczanka z pod Jarocina", „Szarotka — Bydgoszczanka", „Jasne Słoneczko", „Niebieskooka Torunianka", „Lotos", „Irka z Torunia", „Ada z pod Wolsztyna" i „Minerwa" z „Hultajskiej Trójki" — mają w redakcji listy. Proszę o adresy!

CHYBA DONIESIE MI PANI?

„Smutna Kazieńka". Pocztówki wysyłam. Ciekawa jestem, jak spędziła Pani święta — chyba doniesie mi Pani o tym, prawda? Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia!

POZDROWIENIA I ZAPYTANIE

„Marzyciel z nad Noteci" przesyła serdeczne pozdrowienia p. R. S. w Wejherowie i P. Janeczce W. Równocześnie zapytuje, która z miłośniczek pól i lasów zechce nawiązać z Nim korespondencję?

NIECH SIĘ UŚMIECHNIE JASNO ZNÓW...

„Echo Smutku". „Płynie powoli...
Pocichutku,
Echo mojego smutku,
Złej doli!..."

Wierszyk króciutki, ale jakże wymowny. Przysłała go do „Krainy" jakaś smutna panienka z Poznania, więc:

Podajemy Jej szczerze ręce,
Niech się uśmiechnie jasno znów
I kres połóżmy Jej męce,
Niosąc moc dobrych, cichych słów...

Teczka Wujka Janusza

WIERSZYK MIŁY

„Dzinka". Za piękne życzenia noworoczne — bardzo Pani dziękuję. Wzamian ślę Pani moje, również szczere i serdeczne. Wierszyk miły — zamieszczam go niżej.

(Gdzie obecnie mieszkam? — W Żninie i tu już pozostanę).

TY NIE WIESZ...

Ty nie wiesz, że często o szarej godzinie
Rozmawiam z tobą,
Wizję twoją pieszczę słowami cichymi
I tęsknię! tęsknię!
Za oczami twymi.
Ty nie wiesz —
I nigdy nie dowiesz się o tym,
Czy gonię cię myślą — przeklinam —
— Czy płaczę —
Czy z pogodnym czołem
Wciąż podążam naprzód,
A życie swe, czynem znaczę.
Ty nie wiesz,
Jak proste bywają ścieżyny,
Co do szczęścia wiodą —
Jak łatwo tchnąć entuzjazm — lub ból,
W duszę młodą.
I o tym także nie wiesz,
Że dziś, gdy świat stanął w bieli
I miękkie płatki śniegu
Ścielą się pod nogi,
Jam nie ta sama, co wczoraj...
Dziś już nie cofam się
Przed jutrem bolesnym,
Nie drżę już z trwogi.

„Dzinka".

WIERSZ ZAMIESZCZAM

„Wirryt". Wiersz, po poprawieniu małych usterek, zamieszczam. Za sympatyczne życzenia — bardzo Panu dziękuję! Odwzajemniam się podobnymi!

CHCIAŁBYM...

Chciałbym swój uśmiech jasny i promienny
Posłać tym wszystkim, którym jest smutno,
Tym, których zrządzenia losu tajemne —
Skazały na dolę twardą, okrutną.

Chciałbym w ich oczach blask szczęścia zapalić,
Uśmiechem natchnąć ich smutne wargi,
Pragnąłbym od nich wszystko zło oddalić
I nigdy z ust ich nie usłyszeć skargi.

Chciałbym ich twarze zmęczone cierpieniem,
Ożywić blaskiem jasnej radości,
Chciałbym ich serca rozjaśnić marzeniem
O innej, lepszej życia przyszłości.

— — — — — — — — — — —

Ach! Jakże pragnąłbym swoim uśmiechem
Pociechę przynieść i ukojenie
I aby uśmiech wrócił echem
I w moim sercu stłumił cierpienie.

„Wirryt".

NIE NADAJE SIĘ

P. Lech T. T. Nadesłana nowelka — „Pawełek i Funiek na uniwerku" — nie nadaje się do naszego czasopisma. Proszę Pana o inne prace i ślę Panu moc pozdrowień.

Raj kobiet



J 85 115 Spódniczka z tweedu, z wstawionemi fałdami.

J 85 118 Kamizeleczka z wełny białoczarnej, na sportowe bluzeczki.

J 85 123 Popołudniowa bluzka z tafty w deseń kwiatowy.

J 85119 Torebka i pasek do sukienki z duwetyny. Monogramy z galalitu.

J 85 120 Młodociany komplet z jedwabnej piki.

85 121 Kołnierzyk do przedpołudniowei sukienki.

I 85 122 Bluzeczka o kroju kamizelkowym, interesująca linja ramion.

Kroje Lyona — po 1,40 zł z wyjątkiem kołnierzyków, które można nabyć w cenie 0,80 zł

Kwiat w butonierce

Każda pani znajdzie napewno skrawki różnych materiałów niewykorzystane i jakby się zdawało, niepożyteczne. Z tych drobnych kawałków można zrobić miłą ozdobę płaszcza lub sukienki. Zawsze jednak musimy pamiętać o dokładnym doborze koloru i gatunku materiału do wzoru kwiatka. Np. płatki kwiatu należy wyciąć z sukna jasnego: środek obciągnięty na płaskim guziku, musi być tego koloru co i listki, przeszyte dla zaznaczenia żyłek kordonkiem.

W podobny sposób robimy imitację chabru, oraz inne fantazyjne kwiaty. Kwiaty te efektownie wyglądać będą w modnej dziś ogromnie butonierce, na tle wyłogów grubszej sukni. Miłe kuleczki i drobne kieliszki trzeba robić z aksamitu o barwach pastelowych; kolor kwiatu powinien być zbliżony w tonie do koloru listków.

Kiedy kobieta jest najpiękniejszą?

W jakim wieku jest kobieta najpiękniejszą? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Nawet znawcy kobiecej piękności nie potrafią ustalić żadnej normy i dać jej cech formułki. Istnieje cały szereg poglądów indywidualnych, które krążą wokoło balzakowskiej trzydziestki.

Oto pewien sędziwy pejzażysta francuski, który w ciągu swego żywota oglądał nietylko piękne widoki, uważa okres między szesnastu a dwudziestoma laty za najpomyślniejszy dla piękności kobiecej.

Rodak jego, również wybitny malarz i profesor szkoły Sztuk Pięknych w Paryżu, przytoczywszy bardzo starą już opinię Musseta, który widywał najpiękniejsze kobiety między dziewiętnastym a dwudziestym piątym rokiem życia sam przesuwa ten okres na rok 25 — 30.

Głośny rzeźbiarz B. ustanawia znów granicę od 16 — 30 lat.

Niedawno ogłosiło pewne pismo ankietę w tej tak ciekawej sprawie. Oto jej wynik:

Pewna powieściopisarka E. V. rozróżnia dwa typy kobiecej piękności. Bywa tak, że dziewczyna jest prześliczna do 14 roku życia, a potym zaczyna gwałtownie brzydnąć, by koło dwudziestki stać się typem zupełnie przeciętnym; inne znowu, choć były dziećmi brzydkiemi, dochodzą po 20-tym roku do niezwykłej nieraz urody. W tym kształtowaniu się kobiecej urody odgrywa, według literatki, wielką rolę miłość i macierzyństwo. Ostatecznie pani E. V. ustala punkt szczytowy kobiecej urody na r. 28-my.

Lekarz F. H. odróżnia typ dziewczęcia czyli podlotka oraz typ kobiety dojrzałej.

Twierdzi on, że kobieta jest najpiękniejsza w 29 roku życia, dodaje jednak na pocieszenie, że jej uroda trwa tak długo, dopóki ludzie nie zaczną zgadywać jej wieku.

Najciekawszą jest odpowiedź M. D., znanej amerykańskiej aktorki filmowej, mimo przekroczonych — siąt lat wieku.

W teorii, twierdzi ona, rok 35 przynosi najwyższy rozkwit kobiecej piękności, czego dowodem jest Wenus medycejska, kobieta w tym właśnie wieku; w praktyce dodaje jednak M. D., jest kobieta piękna tak długo, póki racjonalnie pielęgnuje płeć i zdrowie, czego sprawdzianym jest jej świeżość. Ta sama gwiazda zaleca umiar w stosowaniu środków upiększających.

HIGJENA I ZDROWIE

Jak uniknąć zarażenia katarem, grypą, anginą i t. p.?

Kiedy choroby z przeziębienia dają nam się dotkliwie we znaki, warto zastanowić się nad tym, jak im można zapobiec.

Niebezpieczeństwo przeniesienia się znaczków chorobotwórczych, t. zw. „bakterii" istnieje zawsze, zwłaszcza jeżeli przebywa się w większej grupie osób, np. w szkole, w kinie, tramwaju, na koncercie itp. Jednakże organizm odporny daje sobie radę z bakteriami, unieszkodliwia je i zapobiega ich rozwojowi. Natomiast organizm mało odporny, przede wszystkim niewłaściwie odżywiany, jest doskonałym podłożem dla rozwoju bakterii. Dlatego osoby mało odporne powinny pomagać organizmowi w zwalczaniu zarazków. Ponieważ furtką, przez którą dostają się bakterie do organizmu jest jama ustna, a miejscem ich rozwoju górne drogi oddechowe, przeto częste dezynfekowanie jamy ustnej i dróg oddechowych hamuje rozwój bakterii i uniemożliwia ich rozwój.

Częste dezynfekowanie jamy ustnej uskutecznić można przez używanie odpowiednich pastylek, które można nabyć w każdej drogerii. Pastylki te powinno się za tym mieć stale przy sobie jeśli przebywa się w sąsiedztwie osoby chorej, albo też jeśli zachodzi niebezpieczeństwo zarażenia się w szkole itp.

Ze świata

Najmniejsza wioska na świecie

Najmniejsza wioska na świecie znajduje się we Francji, oddalona o parę kilometrów od Chaumont i położona w malowniczej okolicy Haute Marno. W miniaturowej tej miejscowości, znanej na karcie geograficznej świata pod nazwą Mortaux, mieszkają 3 osoby, starsza kobieta z 16-letnim synem i 15-letnią dziewczynką. Zarząd wioski spoczywa w rękach przedstawiciela gminy, który rozporządza finansami osady. W ostatnim roku wpływy wyniosły 956 franków, wydatki 950. Mortaux posiada własną kapliczkę i wspaniały starożytny zamek. Dwa razy do roku w kaplicy odbywają się uroczyste nabożeństwa, a ksiądz z sąsiedniej wioski odprawia mszę dla trzech przedstawicieli tej lilipuciej miejscowości.

Najnowocześniejsze więzienie na świecie

W zachodnim przedmieściu Rzymu, niedaleko bazyliki św. Piotra, ma wkrótce powstać kosztem 1 i pól miliona lirów najnowocześniej w Europie urządzony gmach więzienny.

Gmach ten ma posiadać oddziały dla kobiet i mężczyzn, tudzież dla przestępców nałogowych, którzy mają być odosobnieni i podzieleni odpowiednio do swych nałogów.

Więzienie to ma także obejmować instytut naukowy dla badania przestępczości.

Termometr bez rtęci

Wynaleziono nowy termometr tak co do kształtu jak samego mechanizmu, gdyż wygląda jak damski zegarek i niema słupka rtęciowego, lecz wskzówkę i podziałkę od 35-ciu, na której wskazówka zaznacza wysokość gorączki. Za naciśnięciem guzika termometr wraca do temperatury 35 i tamże staje wskazówka. W środku znajduje się ze specjalnie czułego metalu sporządzona sprężyna, połączona ze wskazówką, pokazującą dokładnie na podziale stopień gorączki. Po przyłożeniu termometru do ciała, reaguje przy najmniejszej gorączce. Termometr ten jest niełamliwy.

Samolot nie może lecieć 1000 klm. na godzinę

Czy istnieje maksymalna granica szybkości dla samolotów, niezależnie od siły motoru? Dla znalezienia odpowiedzi na to interesujące pytanie czyniono doświadczenia w Langley Field w stanie Virginia. Doświadczenia te, przeprowadzone w specjalnie skonstruowanym tunelu do „superszybkości" dały sensacyjne wyniki.

Okazało się bowiem, że przy szybkości wyżej niż 920 km na godzinę, powietrze, przepływające przez górną powierzchnię samolotu, nagle usuwa się, wywołując t. zw. „falę uderzeniową" i samolot traci swą nośność. Tak więc wskutek szoku powietrza samoloty nie będą mogły osiągnąć większej szybkości, jak 920 km na godzinę, jakakolwiek byłaby siła motoru. Aby to przezwyciężyć, trzebaby było wynaleźć zupełnie nowy rysunek skrzydeł aparatu. Badania tego zjawiska przeprowadzone zostały przy pomocy precyzyjnych zdjęć filmowych i ogłoszone zostały przez dra Geo W. Lewis'a, dyrektora Narodowego Komitetu do badań aeronautycznych w Rockefeller Center.

Świat i życie

Fabryka gazet

Paryż, w styczniu.

(Korespondencja własna).

Prasa o milionowym nakładzie jest wielkim przemysłem. Świadczy o tem nietylko jej struktura przetwórczo-handlowa, ale również jej organizacja produkcyjna. Obserwować ją można w Paryżu w pałacach prasowych pism o olbrzymim nakładzie dziennym, w których mechanizm wewnętrzny przypomina system organizacyjny wielkich domów towarowych.

Modelem nowoczesnego pałacu towarowo-prasowego jest w Paryżu gmach dziennika „In-transigeant".

Gdy wchodzimy do kolosalnego, 8-piętrowego gmachu, składającego się z kompleksu kilku domów, znajdujemy się w ogromnym hallu, który urządzony jest na wzór wielkiego kantoru bankowego. Przy licznych okienkach publiczność wpłaca należności z różnego tytułu i załatwia interesy, związane z czytaniem wielkiego dziennika.

Na pierwszem piętrze, gdzie dostajemy się po monumentalnych schodach, znajduje się wytworny bar, salony przyjęć i czytelnie zaopatrzone we wszystkie dzienniki świata: W barze panuje wielki ruch. Tam na wysokich taboretach redaktorzy zażywają wypoczynku i odświeżają myśli, gawędząc przy coctailach, papierosach i oranżadach.

Drugie piętro: tu znajdują się biura i gabinety dyrektorów, wydziały korespondencyjne i propagandodyrektorów. Wydziały korespondencyjne i propagandowe oraz wspaniała sala posiedzeniowa rady nadzorczej, wykonana w stylu „empire" i przyozdobiona kunsztownymi witrażami.

Windy są w nieustannym ruchu. Na każdym piętrze informacyj udzielają woźni w uniformach.

Trzecie piętro jest sercem gmachu. Tam bowiem powstaje dzienny egzemplarz pisma. W naszym wypadku chodzi o dziennik wieczorny. Jego dział redakcyjny musi być zamknięty o godzinie 12-tej, gdyż o 13-tej pierwsze wydanie już jest w sprzedaży. Redakcja ma do dyspozycji 3 godziny, by tę herkulesową pracę wykonać, istotnie czas śmieszny, zważywszy ogrom materiału, który trzeba wcisnąć w połowie „petitem" do potężnego, 16-to stronnicowego dziennika.

O godzinie 8-mej rano leży już na biurku naczelnego dyrektora redakcyjnego, makieta egzemplarza dziennego, odpowiednio zaprojektowana i zakreślona niebieskim ołówkiem. Studiowanie makiety, a więc projektowanie i ustalenie wyglądu i układu egzemplarza dziennego odbywa się w obecności naczelnego dyrektora redakcyjnego, naczelnego redaktora, delegata dyrekcji, doradcy artystycznego i handlowego.

O godzinie 9-tej makieta jest zatwierdzona i dostaje się do biura dwóch szefów wydziału informacyjnego, z których jednemu podlega szef ekipy redaktorów, a drugiemu szef ekipy fotografów-reporterów. Każda z tych ekip składa się z naczelników poszczególnych rejonów, czyli działów redakcyjnych, przy czym każdemu naczelnikowi podlegają reporterzy danego działu.

O godzinie 9-tej zaczynają się owe piekielne trzy godziny. Każdy już wie, co ma robić i każdy odpowiada przed swoim bezpośrednim przełożonym. Zbiera materiał ściśle podług zatwierdzonego planu. I tak, jeśli w dziale filmowym widnieje na makiecie projekt 50 wierszy wywiadu z jakąś gwiazdą kinową, reporter musi odpowiedni materiał wyszukać na mieście — przynieść, względnie zatelefonować dość szybko, by redaktor miał czas sporządzić artykuł. Jeśli nad tymi 50 wierszami zakreślony jest niebieskim ołówkiem kwadrat, reporter — fotograf danego działu musi dostawić kliszę. Oczywiście, że do dyspozycji ich stoją samochody, lub motocykle. Telefony są nieustannie w ruchu. Naczelnicy poszczególnych ekip przygotowują w swych gabinetach dłuższe artykuły. Na drzwiach tych gabinetów czytamy, awiacja, teatr, kronika literacka, kino, sport, moda. W osobnym skrzydle znajdują się działy: polityka zagraniczna i sprawy wewnętrzne. Dział parlamentarny ma osobną służbę sprawozdawczą na posiedzeniach i w klubach parlamentu. Na pół ogdziny przed zamknięciem numeru, a więc o 11.30 naczelny dyrektor redakcyjny pisze swój artykuł wstępny t. zw. „bilet".

Na czwartym piętrze rozmieszczone są urządzenia sportowe i gimnastyczne dla redaktorów i personelu, który w momentach wolnych gra tam w ping-pong, uprawia ćwiczenia gimnastyczne, lub atletyczne, boks, szermierkę etc.

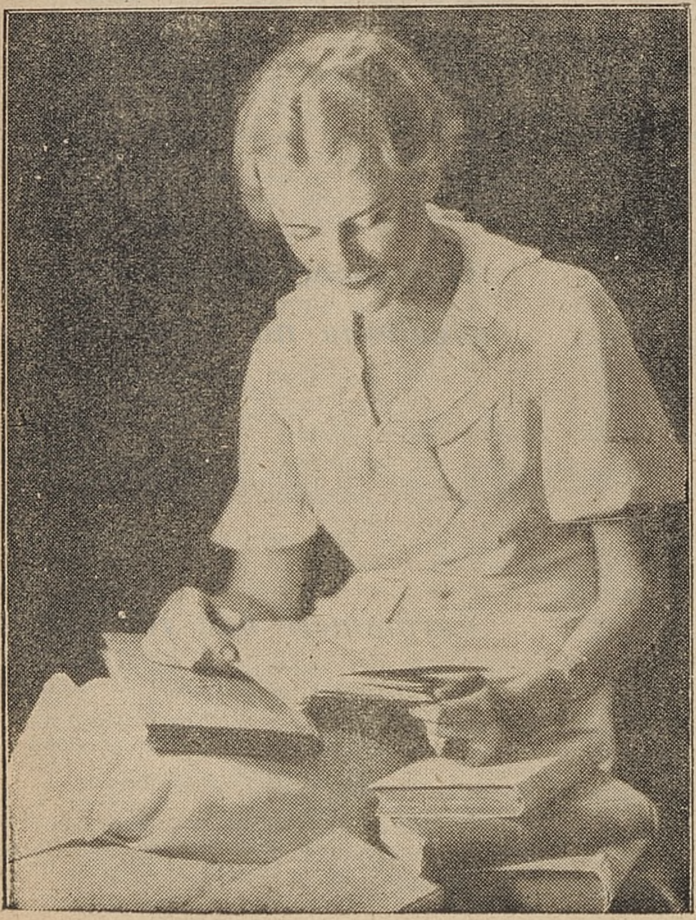
Na piątym piętrze znajduje się stała wystawa z zakresu fotografii artystycznej; obok — projekcyjna sala kinowa, gdzie referent kinowy dziennika i jego sztab współpracowników, oglądają ostatnie nowości filmowe.

Na szóstym piętrzem ma siedzibę muzyka, radio i telewizja. Tam chwyta się fale wszystkich rozgłośni świata, a własna stacja nadawcza dziennika nadaje codziennie tak zwany „kwadrans propagandowy".

Wreszcie na górnym tarasie dachu urządzony jest skwer i hangar na samolot, którym dziennik dysponuje.

Deus ex machina gmachu znajduje się w jego podziemiach, które składa się z 5 pięter podziemnych. Najniższe piętro umieszczone jest w głębokości 18 metrów. W podziemiach stoi rzędem 8 maszyn rotacyjnych, przepotężne kolosy o sprawności 50 tysięcy egzemplarzy na godzinę. Znajdują się tam również magazyny papieru, mieszczą się garaże, mogące pomieścić 120 samochodów.

J. P.



W cichej samotnej godzinie...

Oświadczyny

(Fragment karnawałowy.)

Roman znalazł się w swoim pokoju. Zaledwie zdjął palto wszedł Racki.

— Wiesz kto mnie przysłał?

— Mów!

— Cześka.

Roman skrzywił się, jakby po wypiciu octu.

— Nie wspominaj mi jej...

— Muszę! Kazała powiedzieć, żebyś był na balu maskowym.

— Nie będę.

Małe oczka Rackiego zamigotały złośliwie.

— Wiem, kto cię... urzekł.

— No?

— Ta z pierwszego piętra... Szeleńska. Dla niej poszedłbyś na bal?

— Może...

— — — — — —

Roman wszedł do gwarnej sali. Natychmiast zjawił się Racki.

— Widzisz ją?

— Kogo?

— Szeleńską.

— Ta w czarnej masce?

— Tak.

— Wątpię, czy to ona. Za wysoka.

— Poproś ją do tańca. Przekonasz się.

— Dobrze!

Roman objął ramieniem tancerkę. Spojrzały nań jej oczy. Te oczy już gdzieś widział. Nie mylił się. Tańczył z Cześką. Odprowadził ją bez słowa na miejsce.

Sam szukał Rackiego. Da mu nauczkę!

— Pan nie tańczy?

Roman odwrócił się. Przed nim stała zamaskowana kobieta. Poznał w niej Zosię Szeleńską.

— Zatańczę jeśli pani pozwoli.

— Proszę!

Przytuliła się tak, że czuł ciepło jej młodego ciała. Sunęli cicho w takt orkiestry.

— Prawdziwa przyjemność tańczyć z panią...

Uśmiechnęła się zadowolona.

Uprowadził ją do bufetu. Szampan wzburzył im zmysły. Tańczyli znów, złączeni w namiętnym splocie.

Wreszcie ktoś mu ją odbił. Zniknęła w tłumie

Roman wyszedł, chcąc być chwilę sam. Zamyślił się w jakimś mrocznym pokoju, rozłożony wygodnie na kanapie.

— Pan znów duma?

— Ach, to pani!

Posadził ją obok siebie. Dyszała.

— Gorąco mi. Mogę zdjąć maskę?

— Proszę!

Odsłoniła swą ładną twarz. Ryszard uczynił to samo.

— Wiedziałam, że to pan.

Drżąc, wtuliła się w jego ramiona. Przygarnął ją czule. Oczami powiedzieli sobie wszystko.

Czas biegł.

— Słyszy pan? Wołają mnie. Muszę już iść!

Dotknęła ustami jego ust.

Został sam.

Nagle wpadł Racki, rozpromieniony jak słońce.

— Oświadczyłem się Czesi!

Roman wyciągnął dłoń.

— Winszuję! A ja Szeleńskiej...

Tadeusz Rawicki.

Zgadywała, że Gellini musiał przebyć silne wzruszenie i nie przypuszczając przyczyny, współczuła z nim.

Gellini uspokoił się po chwili zupełnie i przystąpił do fortepianu.

— Jaką piosnkę pani rozkaże? — spytał.

Czy pani śpiewa sopranem, czy altem?

— Nie wiem — odpowiedziała — nigdy jeszcze nie miałam lekcji śpiewu i nie umiem czytać nut.

— Mimo to żona moja sama wymyśla sobie bardzo piękne melodie, z których ja, jako laik jestem bardzo dumny — rzekł Leon zadowolony.

— Zaśpiewaj Hortensjo tę piosnkę, którą ułożyłaś kiedyś tu wieczorem.

— O, to proszę naprawdę — odpowiedział Gellini z uśmiechem, w którym nie było ani trochę ironii.

Nieśmiało, rumieniąc się, przystąpiła Hortensja do fortepianu. Niepewnym głosem i drżąc zaczęła śpiewać. Mistrz akompaniował jej w harmonijnych akordach i wnet wszelka jej nieśmiałość znikła.

Wspaniale rozbrzmiewał jej głos, gdy pełna prostoty śpiewała:

Serce mnie boli, kiedy z tęsknotą,
Myślę o czasach, co — były,
Świat był podówczas takim
serdecznym,
W sercach zawiści nie tkwiły...

Dziś wszystko znikło — jak
wymiecione,
Nędza dziś górą i bóle,
Pan Bóg na górze zdrzemnął się
nieco
A szatan zasnął na dole...

Skończyła i trwożnie patrzyła na mistrza, czekając wyroku, lecz on jakby zupełnie zapomniał o wszystkiem i powtarzał tylko bezdźwięcznym głosem ostatnie słowa pieśni.

Potem wstał nagle i rzekł prawie pokornie:

— Proszę mi wybaczyć jako starcowi, któremu nagle przypomniano jego młode lata i to go wytrąciło z równowagi.

Przysięgam pani, że w tobie drzemie natura artystyczna. Będę dumny z tego, że właśnie mnie przypadnie w udziale, rozbudzić ją i pielęgnować.

— Zawsze to mówiłem — zawołał Leon dumny, a Hortensja uszczęśliwiona patrzyła na swego męża. Umówiono dnie i godziny.

Potem Leon i Hortensja poszli.

Gellini zaś, zamiast wrócić do kompozycji, którą był rozpoczął, chodził dużymi krokami po pokoju, czasem wzdychał boleśnie, od czasu do czasu wymawiał kilka słów w języku włoskim i przecierał oczy, jakby chciał spędzić z przed nich obraz jakiś, który mu dokuczał.

Nareszcie siadł do fortepianu i w cichych, potem coraz głośniej rozbrzmiewających akordach wygrał znowu melodię, którą przed chwilą śpiewała Hortensja.



W paryskich sklepach można było w tym roku zauważyć, między gwiazdkowymi zabawkami, model francuskiej podziemnej fortecy wojennej, która posiadała między innymi wieżę dla artylerii i windę.

Głos jego dawniej pełny i czarujący, dziś bezsilny i bezdźwięczny miał coś wzruszającego.

Była to jakby skarga złamanego serca w tych bezbarwnych tęsknych tonach.

Gdy Luigi po kilku godzinach cicho wszedł do pokoju, zastał pana swego jeszcze przy fortepianie, wygrywającego ten sam temat w różnych ariach.

Duch jego wrócił na chwilę w czar młodości.

ROZDZIAŁ LII.

Trzy razy już pani Herbert na palcach weszła do pokoju Sylwii, a ona wciąż jeszcze spała.

Dziwiła się bardzo, bo Sylwia położyła się spać o zwykłej porze.

Wtem wzrok jej bystry padł na trzewiki dziewczęcia i trzewiki te powiedziały jej wszystko. Były na nich bowiem ślady dalekiej, pieszej wycieczki, a na podeszwach znać było bagnisty grunt lasu.

Natychmiast poznała leśniczyna, że jej córeczka była na nocnej wycieczce.

— Boże, mój Boże — lamentowała — ona tak długo będzie ryzykować życie, aż je kiedyś w straszny sposób utraci.

Westchnienie to zbudziło piękną, śpiącą dziewczynę.

— Gdzieś była w nocy? — zapytała leśniczyna z niebywałą surowością.

— W obozie cyganów, mateczko — odpowiedziała Sylwia — pomyśl sobie — dodała z filuternym uśmiechem — jak mnie Irena chciała wyprowadzić w pole. Mówiła mi, że jestem tylko waszą przybraną córką i że pochodzę z dostojnego rodu.

— A gdyby tak było, czyżby to cię nie cieszyło — spytała poważnie pani Herbertowa, patrząc na nią bacznie.

— Mateczko ukochana, jak możesz wątpić o mnie — zawołała Sylwia, zarzucając jej ręce na szyję — czyż mogłabym znaleźć na całym świecie lepszych, mądrzejszych rodziców?

Byłabym najnieszczęśliwszą osobą na świecie, gdybym się dowiedziała, że nie mam prawa do waszej miłości. Głupio z mojej strony, żem nawet na chwilę dała się zasmucić słowami cyganki. Czyżbyście mogli tak mnie kochać i taką troskliwą otaczać opieką, gdybym nie była waszą córką? Musiałam mamę bardzo zmartwić, żem postawiła takie pytanie; proszę mi wybaczyć!

— Pod jednym tylko warunkiem — odpowiedziała pani Herbertowa ze sztuczną surowością, która jej nie zawsze się udawała — jeżeli mi przyrzekniesz, że nic bez naszej wiedzy robić nie będziesz.

— Jeżeli wogóle coś robiłam po za waszymi plecyma — odrzekła Sylwia — to tylko dlatego, aby wam oszczędzić zmartwień i niepokojów.

— Wiem o tym — odrzekła leśniczyna — jednak muszę obstawać przy moim żądaniu, i jeżeli mnie kochasz, zgodzisz się — wyciągnęła do niej rękę, którą Sylwia ujęła po krótkim wahaniu.

Wiedziała bowiem, że Sylwia dane raz przyrzeczenie dotrzymuje jak najściślej. Ubierając się, opowiedziała Sylwia matce przybranej, zdarzenia ostatniej nocy i postanowiła tego samego dnia jeszcze rozpocząć poszukiwania w zamku Felseg.

— Jeżeli to prowadzi do twego uspokojenia — odpowiedziała pani Herbertowa — to dobrze, ale w każdym razie ojciec musi iść z tobą.

Sylwia musiała więc czekać do obiadu, aż powróci Herbert, jakkolwiek bardzo się niecierpliwiła.

Leśniczy wrócił rzeczywiście dopiero w południe. Po obiedzie poprosiła go Sylwia, żeby był tak dobry i poszedł z nią do Felseg.

— To na nic — odrzekł Herbert — na nic się nie przyda, ale spróbować możemy.

Wybrali się natychmiast w drogę, lecz idąc, przez całą drogę nic nie mówili do siebie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Ofiary miłości

Powieść

(2 **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

— Hm, nie wiem, jak zacząć. No, to powiem całkiem poprostu. Widzisz, moi koledzy projektują po maturze taką wspólną wycieczkę do Nadrenii. Do jutra przyjmuje się zgłoszenia.

— A ty oczywiście, radłbyś się także zgłosił, czy tak?

Bernard miał minę trochę zakłopotaną. Wreszcie wyrzucił:

— Och, strasznie... Rozumie się, o ile nie wolisz, bym jak co roku towarzyszył ci w podróży wakacyjnej.

Herbig z żywym upodobaniem patrzył w podniecone twarz młodzieńca.

— Czyli, że tym razem chcesz mi się sprzeniewierzyć? — spytał, udając dotkniętego.

Bernard mocno zmieszany przyglądał się czubkom swych trzewików.

— O ile się na to zgodzisz. Tak, mamusia ma właściwie rację, jestem strasznie niewdzięczny, myśląc o czemś podobnym. Surowo mi też zakazała zwrócić się do ciebie w tej sprawie. Ale koledzy tak ogromnie namawiają...

— A ty, niedobry synu, posłuchałeś kolegów, nie matki?

— Tak — postąpiłem właściwie całkiem szkaradnie. Ale widzisz, wuju... mamusia tak się lęka, by cię czemś nie dotknąć, i nieraz mi już zakazywała rozmaite rzeczy, na które ty jednak zezwalałaś A ja cie znam lepiej niż mamusia. I wiem, że nigdy nie byłeś małostkowy.

— Czyli, że tym razem jestem małostkowy? — zaśmiał się Herbig.

— Nie, nie! Ty nim nie jesteś nigdy, nawet gdy mi odmawiasz!

— Piękne! Wobec tego muszę się starać, byś zachował o mnie dobre wyobrażenie. Mówiąc konkretnie: wolałbyś z kolegami odbyć podróż po Nadrenii niż jeszcze raz pojechać ze mną do Tyrolu? Zgoda. Zgłoś się więc jutro jako uczestnik tej podróży, a potrzebne pieniądze otrzymasz ode mnie. O jedno cię tylko proszę: nie zawieraj zbyt bliskiej znajomości z winem reńskiem.

Bernard w porywie wdzięczności gorąco mu ściskał ręce.

— A naprawdę nie masz do mnie żalu?

— Najmniejszego! Doskonale rozumiem, że bardziej cię nęci taka wycieczka w gronie wesołych rówieśników, niż wspinanie się po górach ze starym nudnym wujem.

— Przepraszam, ale mojego wuja pozostaw ty w spokoju. Nie jest ani nudny, ani stary. Wakacje w górach w twoim towarzystwie są zawsze cudowne. Ale tę podróż z kolegami bardzo pragnąłbym odbyć.

— Załatwione! Wyruszasz latem nad Ren.

Bernard zmarszczył czoło i z pod oka spojrzał na starszego mężczyznę.

— Całkiem załatwione to jeszcze nie jest. Co powie mamusia? Nie mam odwagi wyznać jej tego.

— Co — nie masz odwagi? A ty łobuzie jakiś! Do nieposłuszeństwa miałeś odwagę, a brak ci jej do zniesienia następstw? Nic z tego, mój drogi! Tym razem musisz się sam z nią rozprawić.

Bernard tarł ręce w podnieceniu.

— Ach, gdybyś wiedział, jak ona się lęka, bym cię czem nie obraził. I zaraz zaczyna płakać, a to mi odbiera całą odwagę. Nie rozumiem doprawdy, dlaczego mamusia się tak obawia, bym ci nie sprawił przykrości. Powinna przecież wiedzieć, jak ogromnie cię kocham, i że za nic na świecie nie chciałbym cię dotknąć. A ona mi wciąż powtarza, że za mało ci okazuję moje przywiązanie i boi się, że z tego powodu możesz mnie przestać kochać. A ja kupię teraz do matury, że mi się aż w głowie kręci, by ci bodaj w ten sposób okazać moją wdzięczność.

Herbig wsparł głowę na łokciu i pieszczotliwie przesunął ręką po bujnej czuprynie chłopca.

— Och, proszę cię, nie mów mi tylko o wdzięczności. Nienawidzę tego słowa. Wolę kruszynkę przywiązania od całej góry wdzięczności, za którą kryje się zawsze pewnego rodzaju przymus.

Bernard spojrzał nań swymi szczerymi jasnymi oczyma.

— Nie u mnie. W mojem przywiązaniu niema żadnego przymusu. Kocham cię, bo nie mógłbym inaczej, tak samo jak oddycham, nie myśląc o tem.

* *
*

W chwilę później Fryc Herbig udał się do fabryki. Zabawił chwilę w swym gabinecie, by osobiście odpowiedzieć na ważne listy. Następnie obchodził kolejno poszczególne hale i oddziały, przepełnione szumem i świstem, stukaniem i warkotem. Był przyzwyczajony do tego hałaśliwego akompaniamentu pracy podobnie jak jego robotnicy i wcale go nie raził.

Po skończonej inspekcji, rzuciwszy tu i ówdzie potrzebną uwagę, udał się do oddziału rysunkowego na piętrze.

W pośrodku przestronnej sali stały olbrzymie tablice z wykonanymi na nich poszczególnymi rysunkami. Dokoła nich w kształcie elipsy biegły przepierzenia drewniane, za którymi główni rysownicy i rysowniczki, w ten sposób odgrodzeni od innych, spokojnie mogli pracować nad wykonaniem rysunków i szkiców.

W jednym z tych przedziałów przy dużym stole, zasłanym papierami i przyborami do pracy, siedziała Marja Rottman. Herbig przystawał na chwilę przy każdym z pracujących, przyglądając się jego pracy. Na ostatku zatrzymał się przy Marii. Ubrana była tak samo jak przed paru dniami, kiedy ją odprowadził po wyjściu z fabryki: szara spódniczka i biała skromna bluzka, ozdobiona tylko czarną kokardką. Za zbliżeniem się szefa podniosła głowę i spojrzała nań. Ze spokojną uprzejmością zamieniła ukłon, przy czem dziewczyna, ani na chwilę nie przerwała pracy. Wiedziała, że jeśli ma dla niej jakieś specjalne zlecenie, to przemówi do niej. Dziś jednak z pewnym roztargnieniem patrzył na jej pracę, przyglądając się raczej jej smukłym rękom o szlachetnych liniach i długim palcom, zakończonym różowymi paznokciami. A od rąk spojrzenie jego pobiegło bezwiednie ku krągłym ramionom uwydatniającym się poprzez lekką tkaninę. W pochylonej pozycji dziewczyny widać było biały jej karczek, a nad nim nasadę bujnych kasztanowatych włosów, maleńkie różowe ucho i regularną świeża twarz. Herbig przychwycił się nagle na obserwowaniu wszystkich tych szczegółów z nieznanym mu dotąd upodobaniem.

Marja poczuła widocznie jego spojrzenie, gdyż raptownie bez żadnego powodu podniosła oczy i spotkała się z jego wzrokiem. Ujrzała w oczach jego

wyraz, który wywołał u niej pomieszanie. Natychmiast zaczęła znów rysować, ale ręce jej straciły zwykłą pewność, a zdradziecki rumieniec coraz silniej zabarwiał jej policzki. Czuła to, irytowała się wewnętrznie, lecz nie mogła opanować dziwnego niepokoju. Oddychała nieregularnie, a on to spostrzegł, patrząc na szybkie, nierównomierne podnoszenie się i opadanie jej barek. Przeniknęło go nieopisane uczucie błogości. Jej niepokój udzielił się też jemu. Tajemny, słodki czar nieuchwytnym swym oprzędem obsnuwał tych dwoje ludzi.

Maria Rottman kreśliła linie niepewne, gdyż dziwna mgła przesłaniała jej oczy, a palce odmawiały posłuszeństwa. Zawstydziła się tego niepokoju i siłą otrząsając czar, przyprawiający ją o niepokój, odłożyła ołówek i spytała:

— Czy pan ma może jakieś specjalne zlecenie?

Drgnął, wyprostował się, lecz nie odpowiedział jej zaraz. Oczy jego wpatrywały się w jej twarz tak dziwnie badawczo, że dziewczyna znów się okryła gorącą purpurą. Wtedy dopiero Herbig uświadomił sobie jej krępujące pomieszanie.

— Nie — dziś nie mam żadnych zleceń — rzekł na pozór spokojnie, poczem wrócił do swego gabinetu. Ale od owej chwili znikła miła swoboda z dotychczasowego ich stosunku.

Uczucie, jakie zawładnęło Herbigiem, było dla niego czemś tak nowym i zgoła mu nieznanym, że narazie nie umiał sobie zdać sprawy. Wiedział tylko, że dotąd żadna kobieta nie podziałała na niego w taki sposób. A nowe to uczucie wywołało w nim nastrój tak przyjemny, że chętnie mu się poddawał. Co więcej — z marzycielską rozkoszą coraz bardziej się w nim pogrążał. Nawet niepokój, ogarniający go na samą myśl o Marii, miał w sobie coś słodko upajającego, przeciw czemu wcale się nie chciał bronić, gdyż stan ten dawał mu szczęście, jakiego nigdy jeszcze nie był zaznał.

I tego dnia praca wcale nie nęciła tego człowieka zazwyczaj tak bardzo czynnego. Rzucił się na krzesło i patrzył przed siebie, próbując skupić myśli. Jak się to stało? Wszak w obcowaniu ze swą najzdolniejszą rysowniczką nigdy, ani na jedną chwilę nie stracił spokojnej równowagi.

Tak, od pierwszej chwili była mu sympatyczną, żywił dla niej życzliwość, ale ten tęskny tkliwy niepokój, wypełniający jego serce błogą radością, nie ma wszak nic wspólnego z uczuciem życzliwej sympatji. Czyżby to było zapowiedzią miłości, a może miłością samą, której sobie jeszcze nie uświadomił?

Zerwał się i niespokojnie przebiegał pokój.

— Idiotyzm! — mruknął do siebie i podszedł do okna, by niespokojnymi palcami bębnić po szybie.

Nadeszła pora podwieczorku. Robotnicy i robotnice wyszli na dziedziniec fabryki, by posilić się na świeżym powietrzu i pogawędzie. Grupa młodych ustawiła się tuż pod jego oknami. Śmiejąc się i żartując z koleżankami, zamieniali z niemi wesołe, a czasem też zakochane spojrzenia. Jedna para trzymała się rozmyślnie na uboczu, a gdy dzwon fabryczny wzywał napowrót do przerwanej pracy, ci dwoje weszli ostatni do bramy i pocałowali się ukradkiem, nie przypuszczając, że szef jest świadkiem tej ich pieszczoty.

Herbig westchnął bezwiednie.

Wszyscy ci ludzie, albo już założyli ognisko rodzinne, albo ku niemu zmierzali. Tylko on jeden w trzydziestym ósmym roku życia wciąż jeszcze wiódł życie samotne. Gwałtowne pragnienie szczęścia rozbudziło się w jego duszy. Dlaczego miałby do końca życia pozostać kawalerem? Wszak nic mu nie stoi na przeszkodzie ożenienia się i zakosztowania szczęścia osobistego. Nic go nie krępuje, z nikim nie potrzebuje się liczyć. Czyżby Bettina?...

Nie! Bettina też chyba nie może żądać, by ze względu na nią miał się wyrzec miłości i małżeństwa.

Czy może Bernard?

Przecież ożenek nie wpłynie na zmianę jego uczuć dla niego i nie przeszkodzi mu otaczać go nadal czułą opieką ojcowską. A dzielny ten uzdolniony chłopiec za kilka lat wywalczy sobie niewątpliwie takie stanowisko, że będzie się doskonale mógł obejść bez spadku po wuju.

Bettina wolałaby wprawdzie, by jej jedynak odziedziczył kiedyś fabrykę i będzie się trochę dąsać, gdy te jej nadzieje zostaną zawiedzione, ale ostatecznie pogodzi się z koniecznością. Przez tyle lat żył dla innych, czas mu wreszcie pomyśleć o obowiązkach względem siebie samego. Jest już dość stary i istotnie niema czasu do stracenia. Zdobył chyba prawo założenia własnej rodziny, zakosztowania szczęścia... Poprostu ma nawet obowiązek przedłużenia swego istnienia w potomstwie.

W ten sposób bronił swego prawa do szczęścia i zwalczał ostatnie wątpliwości, a w duchu widział już nawet u swego boku towarzyszkę życia, patrzącą nań promiennymi oczyma zrozumienia i miłości.

A oczy te były najzupełniej podobne do oczu jego zdolnej rysowniczki.

— — — — — — —

Zabawa urządzona przez Fryca Herbiga dla robotników i urzędników fabrycznych, przypadła na dzień niezwykle pogodny. W fabryce pracowano tylko przed południem. O oznaczonej godzinie wszyscy stawili się punktualnie — żonaci z żonami i dziećmi — wszyscy w strojach odświętnych. Także urzędnicy z kierownikami poszczególnych oddziałów zjawili się w komplecie.

Wielki ogród otaczający jedną z restauracyj przedmiejskich przystrojono barwnymi chorągiewkami i lampionami, zawieszonymi pośród drzew. Dokoła ustawiono namioty dla orkiestry, a wszystkie place zabawowe ożywiły się w okamgnieniu rozbawionymi grupami zewsząd napływającej fali gości.

Pierwszy przybył Herbig w towarzystwie Bettiny i Bernarda, by z najwyższą serdecznością i taktem podejmować swych licznych gości. Każdy z przybywających pragnął usłyszeć parę słów z ust szefa, a Herbig doskonale wywiązywał się z obowiązków gospodarza. Dzielnie mu w tym pomagała Bettina, pomimo że duszą jej szarpał trwożny niepokój. Ani na chwilę nie traciła z oczu brata. O pół do czwartej podano kawę z ciastami i wszyscy zasiedli przy długich stołach ustawionych w podkowę. Przed biesiadnikami piętrzyły się istne piramidy smacznego pieczywa i bezustannie krążyły dzbanki z kawą.

Herbig usiadł swobodnie w grupie starszych robotników i ich żon, dając dobry przykład zdrowym apetytem i doskonałym humorem. W pierwszej chwili towarzystwo jego podziałało trochę krępująco na najbliższe sąsiedztwo, gdy jednak śmiejąc się i żartując, zaczął nakładać na talerze swych sąsiadek sterty ciast, wnet ulotnił się przymus, ustępując miejsce pogodnej wesołości. Bettina w roli gospodyni baczyła, by nikomu na niczem nie zbywało, a przechodząc wzdłuż stołów, uprzejmym słowem zachęcała gości do korzystania z uczty. Tak doszła do stołu, przy którym umieścili się rysownicy i rysowniczki. Przywitała ich kolejno, przystanęła obok panny Rottman i zapytała uprzejmie, czy może usiąść obok niej. Postanowiła przez cały czas zabawy mieć ją na oku i zatrzymać możliwie w pobliżu swej osoby. Młode panny zrobiły miejsce siostrze szefa. Przyjęła zaproszenie zajęcia miejsca przy ich stole, kłaniając się i uśmiechając na wszystkie strony.

Zamieniwszy z najbliżej siedzącymi po parę słów, zwróciła się przyjaznym tonem do Marii Rottman.

— Widzę, że matka pani nie skorzystała z naszego zaproszenia?

— Nie, proszę pani. Matka jest niestety od dłuższego czasu cierpiąca.

— Och. także mi przykro. Ale chyba nic groźnego?

— Na szczęście nie. Jest tylko ogromnie wycieńczona i przebywanie w gwarniejszym towarzystwie naraża ją na ból głowy i silne zdenerwowanie.

— Wyobrażam sobie, że wobec tego zrobiła pani ofiarę, zostawiając mamę samą?

— Och, jest przecież przyzwyczajoną do tego, bo większą część dnia codziennie spędzam w fabryce. Przy tym bezwzględny spokój i cisza najbardziej są zalecone.

— Miejmy nadzieję, że rychło wróci do sił. Tymczasem bardzo panią proszę o pomoc przy grze fantowej, a przede wszystkiem przy zabawach dzieci.

— Najchętniej pani służę, proszę mną rozporządzać.

Bettina podziękowała jej skinieniem głowy i uśmiechem, po czym zwróciła się do innych rysowniczek.

— Dla wszystkich pań jest dziś mnóstwo zajęcia przy zaaranżowaniu gier towarzyskich. Wszak mi panie nie odmówią?

Młode panny skwapliwie przyrzekły współudział. Ich uniżona grzeczność wobec siostry szefa odbijała bardzo od spokojnej uprzejmości Marii Rottman.

— Dumna, a nawet zarozumiała — pomyślała o niej Bettina.

Herbig już parę razy zmieniał miejsce, przyłączając się do tej, to do innej grupy swych gości. Przechodząc tak od stołu do stołu, zdążał na pół bezwiednie do określonego celu. I istotnie, po pewnej chwili siedział naprzeciw Marii Rottman, a oczy jego promieniały radością, ilekroć na nią spojrzał.

Bettina zauważyła ten wyraz jego oczu, a trapiący ją niepokój spotęgował się do wyraźnego lęku. Jej poważny, zazwyczaj tak doskonale zrównoważony brat wcale dziś nie wyglądał tak, jakby do końca życia miał wytrwać w stanie kawalerskim. Coby tu zrobić, by unieszkodliwić sprawczynię tej widocznej zmiany w jego zachowaniu?

Myślała i zastanawiała się i układała plany, pragnąc najgoręcej, by nareszcie skończył się ten podwieczorek. Ale goście nie grzeszący brakiem apetytu, raz po raz pozwalali sobie napełniać filiżanki doskonałą kawą, spożywając do niej masy pieczywa.

Nareszcie skończyła się jej tortura. Resztę pieczywa zapakowano dla dzieci, mających wrócić teraz do domu i towarzystwo wstało od stołu, gdyż miały się rozpocząć gry.

Bettina ujęła Marię Rottman pod rękę i śmiejąc się uprowadziła ją ku stołom, na których piętrzyły się podarki dla dzieci.

— Musimy spieszyć, droga pani, dzieci niecierpliwią się już w oczekiwaniu podarków — rzekła żywo i zanim Herbig zdołał się opamiętać, znikły mu obie pośród drzew. Narazie jednak on również musiał się zająć swymi gośćmi, bo tłumy robotników cisnęły się ku strzelnicy i innym pawilonom i czekali tylko na hasło szefa. Przy zaaranżowaniu gier mieli mu pomóc rozmaici urzędnicy.

Ozwały się dźwięki muzyki i na całym placu zawrzało jak w ulu. Bettina, zająwszy miejsce obok panny Rottman, dozorowała zabawy dzieci, a jej asystentka rozdawała podarki.

Kilku urzędników odłączyło się od towarzystwa dorosłych i ofiarowało swą pomoc siostrze szefa. Podziękowała z uśmiechem, któremu towarzyszył gest żywego protestu.

— Nie, nie, bardzo dziękuję, ale tu jest wyłączne królestwo kobiet. Panowie wprowadziliby tylko chaos. Natomiast przy moim bracie znajdą panowie dość zajęcia.

Po oddaleniu młodych ludzi Bettina zwróciła się do Marii i rzekła żartobliwie:

— Może pani zrobiłam przykrość, nie przyjąwszy usług tych panów?

Maria spojrzała na nią zdumiona.

— Jak to mam rozumieć?

— Miałam wrażenie, że chodziło im raczej o towarzystwo pani niż o zajęcie się dzieciakami.

Dziewczyna przybrała minę lodowatą.

— Pani się myli.

Bettina pogroziła jej palcem.

— Och, proszę się przyznać. Wszak pani również wolałaby się bawić ze swymi kolegami, niż poskramiać tę rozbrykaną dziatwę.

— Przeciwnie. Ja bardzo lubię dzieci.

— Och, wieczór będzie się pani mogła bawić dowoli. Cieszy się pani na tańce?

— Istotnie, jeszcze o tym nie myślałam.

Bettina, wciąż się uśmiechając, rzekła niedowierzająco:

— Czyżby? Młoda osoba, nie myśląca o tańcach? Trudno uwierzyć. Pośród tylu młodych panów niema ani jednego, z którymby pani chętnie potańczyła?

Maria Rottman zarumieniła się z tłumionej irytacji. Bettina jednak mylnie sobie wytłumaczyła ten rumieniec. Czyżby przypadkowo trafiła na ślad tak bardzo dla niej upragniony?

— Pani wybaczy, że na pytanie to odpowiedzieć nie mogę — rzekła Maria tonem bardzo chłodnym lecz stanowczym.

Bettina zrozumiała. W duchu jednak snuła dalej swój plan. Prawdopodobnie młoda dziewczyna żywi skłonność do któregoś z kolegów, lecz nie życzy sobie wtajemniczać osób postronnych.

— Pani droga, proszę mnie nie posądzać o pustą ciekawość, ale mam dla pani istotnie żywą sympatię i szczerze interesuję się losami pani. Wiem od brata, że pani pochodzi z dobrej rodziny i wyobrażam sobie, że takie zależne stanowisko niezbyt pani odpowiada. Nie chcę się wdzierać w zaufanie pani, ale jestem wszakże przekonana, że uroda pani i inne zalety niewątpliwie nęcą niejednego młodego człowieka do starania się o rękę pani.

Maria spokojnie rozdzielała podarki uszczęśliwionym dzieciakom, ale usta jej drżały nerwowo. Rozmowa ta była jej w wysokim stopniu nieprzyjemną.

— Narazie niema żadnych danych do takiego przypuszczenia. Jestem zupełnie zadowolona z obecnej swej pozycji i wcale nie tęsknię do zmiany.

Odpowiedź dziewczyny nie zachęcała do kontynuowania rozmowy w tym tonie, ale Bettina nie pozwoliła się zniechęcić.

— To bardzo pożądane dla fabryki, że będzie mogła zatrzymać tak znakomitą siłę, ale mniej przyjemne dla pani. Najpiękniejszym powołaniem dla kobiety jest jednak małżeństwo. A pani już chyba po dwudziestce, czyli w najodpowiedniejszych latach do małżeństwa.

— Kończę rok dwudziesty trzeci, ale mimo to wcale mi nie spieszno do zamążpójścia — oświadczyła Maria, pragnąc położyć kres tej rozmowie.

Ale Bettina była uparta.

— Czy pani może należy do kobiet wolnomyślnych, gardzących małżeństwem?

Maria wyprostowała się i poważnie spojrzała na swą natrętną interlokutorkę.

— Wcale nie. Uważam, że szczęśliwą jest każda kobieta, mająca własne ognisko domowe, w obrębie którego może spełniać obowiązki, wypełniające jej życie. Ale małżeństwo dobrane, oparte na wzajemnej miłości nie są zbyt częste, a konwencjonalnych ja nie uznaję. Wolę zawód, który daje mi zadowolenie i umożliwia byt skromny lecz niezależny.

Bettina uważnie wysłuchała tego oświadczenia kładącego kres dalszym indagacjom. Na szczęście przyszedł jej w pomoc przypadek. Właśnie przechodził obok grupy dzieci młody, bardzo przystojny agent, podróżujący w interesach fabryki. Zobaczywszy Marię, przystanął na chwilę, po czym podszedł do niej z wyrazem żywej radości.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Niebezpieczny Gość

Powieść

Jankę łzy dusiły w gardle. Gorzkie wspomnienia wzburzyły jej myśli, a usteczka wykrzywiły dziwnym grymasem. Gwałtownie zerwała się z leżanki i poczęła krążyć po pokoju.

— Niewdzięcznik! — wyszeptała po chwili nerwowo drżącymi ustami. — O, niewdzięczny!...

Ona była prawie dumna ze swego narzeczonego. Kochała go tak gorąco i już naprzód snuła czarowną nić niedalekiej przyszłości... I naraz... naraz, kiedy zdawało się, że nic nie zdoła zamącić jej szczęścia, nić tę przerwano brutalnie!... Iluzje jej prysły, jak bańka mydlana!... O, bo ona wyimaginowała sobie „Wielką Miłość", gdy tymczasem Zdzisław chyba wcale jej nie kochał...

A jednak... jednak to być nie może. Przecież nie mogły kłamać jego płomienne oczy z takim uczuciem jedynie na nią patrzące. A oczy wyrażają to, co czuje i myśli ich właściciel!...

Więc Zdzich ją chyba kochał, a tylko nagle, niby niebezpieczna bomba, wpadło między nich... nieporozumienie.

Jance wcale na myśl nie przyszło, że to „nieporozumienie" zostało starannie wyreżyserowane i celowo wywołane przez pewną osobę. Ze zmartwienia zapomniała o wszystkiem. Zapomniała o autorze oszczerczych anonimów i niebezpiecznym, temwięcej, że nieujawnionym, intrygancie w jednej osobie.

Przed oczyma w tej chwili miała tylko swoją krzywdę. Na Zdzisława się nie gniewała, gdyż nie mogła się gniewać, ale miała do niego wielki żal za to, że śmiał choćby przez chwilę, zwątpić o jej stałym, głębokim uczuciu, że — dając wiarę nikłym pozorom — posądził ją o płochość, a kto wie, może nawet gorzej jeszcze...

Młoda dziewczyna nie zastanawiała się nad tym, że pozory przemawiały wcale niedwuznacznie na jej niekorzyść i, że wskutek tego narzeczony jej miał niejako prawo ją potępić...

Ona czuła się niewinną i bolała skrycie. A będąc z natury delikatnego i tkliwego usposobienia, odczuła więcej może, niż niejedni sądzą, niesprawiedliwe dla niej postępowanie narzeczonego.

I teraz niespokojnie chodząc po pokoju, nie mogła opanować wzruszenia na wspomnienie doznanych wczoraj przykrości. Łzy dusiły ją w gardle, a serce przepełniała bezsilna rozpacz na myśl, że gmach jej marzeń został silnie wstrząśnięty... że może stracić swego Zdzicha! Och, ona przypłaciłaby zdrowiem taką katastrofę...

Janka długo jeszcze przemierzała wzdłuż i wszerz pokój, bijąc się z rozpaczliwymi, goryczą przesyconymi, myślami. Wreszcie uspokoiła się trochę. Otarła potem łzy i, przyczesawszy nieco włosy, zeszła cicho do ogrodu. W ciszy i spokoju pragnęła zebrać rozpierzchłe myśli i zastanowić się nad obecną sytuacją. Pozatem sądziła, zresztą nie bez słuszności, że świeże powietrze najlepiej uspokoi rozdrażnione nerwy i wróci jej równowagę ducha.

Znalazłszy się na szerokim ganku oddechnęła głęboko balsamiczną wonią zieleni, potem, po chwilce wahania, skierowała swe kroki w stronę altany.

Ileż miłych wspomnień łączyło ją z tym miejscem! W altanie spotkała po raz pierwszy Zdzisława Donieckiego i tam spędziła z nim kilka czarownych chwil, jakie daje gorąca, lecz czysta miłość...

Dochodziła właśnie do altany, gdy posłyszała szmer jakiś, jakby czyjeś kroki. Podniosła szybko oczy i stanęła jak wryta. W następnej chwili oparła się o ścianę altany. Przed nią, w oddaleniu zaledwie kilka kroków, stał — ON... Zdzisław.

Spotkanie było tak niespodziewane, że zaskoczyło obie strony. Momentalnie jednak w sercu Janki zaświtał nagły promyk nadziei, że nadarza się chwila, w której musi się wyjaśnić dręczące ich nieporozumienie.

Ale zanim zdążyła ochłonąć z wrażenia, zanim zdążyła zebrać myśli, — oczy jej, które codopiero ożywił jasny płomień, poczęły nagle przygasać, twarzyczka blednąć bardziej jeszcze, a usta poczęły drżeć tłumionym łkaniem.

Bo oto co się stało.

Ujrzawszy przed sobą Jankę Krańską, Zdzisław przystanął gwałtownie. Oczy jego błyskawicznie objęły postać narzeczonej, jej bladą, zmienioną twarzyczkę i na moment spotkały się z jej wejrzeniem. Wtedy drgnął silnie i odruchowo wyciągnął ręce, jakby chciał podbiec do dziewczyny. Ale w tej samej chwili, jakby pod wpływem jakichś niemiłych dlań myśli, opuścił ręce i pozostał w miejscu. Zawahał się na ułamek sekundy. Widocznie walczył z uczuciem, ciągnącym go do ukochanej, a rozpaczliwymi myślami, które wzbraniały mu zbliżyć się do niej. Myśli te, choć przejmowały jego serce szalonym bólem, zwyciężyły. Raz jeszcze, jakby z niemym wyrzutem, spojrzał na Jankę i tylko etykietalnie uchylił kapelusza. Nie wyrzekł ni jednego słowa... Oddalił się z takim pospiechem, jakby coprędzej chciał uciec przed dręczącymi go myślami.

— Boże!... — rozpaczliwy szept wydarł się ze ściśniętego nagle gardła panny Krańskiej.

Szeroko otwartymi oczyma wiodła za migającym pomiędzy zielenią kapeluszem. Widziała, jak Zdzisław dobiegł do tarasu, gdzie na moment przystanął, jak potem chwycił się rękoma za głowę i zniknął w drzwiach willi.

Janka zacisnęła zęby. Czuła, jak serce jej ścisnęło się szalonym bólem, a do oczu napłynęły gorzkie łzy. Jak nieprzytomna weszła do altany i opadła ciężko na ławkę. Ukrywszy twarz w dłoniach, załkała cicho, nie wiedząc, że w tej samej chwili na progu altany stanął jej ojciec.

Pan Krański był przypadkowo świadkiem spotkania się młodej pary i dziwił się niemało, obserwując przede wszystkiem zachowanie się młodzieńca... Jakto! ten zawsze uprzejmy, elegancki Doniecki, manifestacyjnie niegrzeczny wobec młodej kobiety? Kobiety kochanej?... Cóż to ma znaczyć?

Spojrzał na córkę i zmarszczył naraz brwi. Janka była bardzo blada i jakby przygnębiona. Pan Krański wytężył wzrok. Czy go oczy mylą? Ale nie! Jego jedyna córka nie wydaje się być szczęśliwą. Ona cierpi widocznie...

Mocno zaniepokojony zbliżył się do altany, niezauważony przez dziewczynę, której blada twarzyczka poczęła przybierać płaczliwy wyraz zawiedzionego w uczuciach dziewczęcia. Dojrzał też dwie nieproszone perełki, lśniące na długich rzęsach swej córki...

Pan Krański stał i patrzył. W miarę upływu sekund jego wysokie czoło zaczęło marszczyć się, a przez twarz przesunęła się ciemna chmura.

Wnet jednak rozpogodził oblicze i, cicho podszedłszy do dziewczyny, położył rękę na jej ramieniu.

Janka leniwie odjęła ręce od twarzy i, zobaczywszy przed sobą ojca, zerwała się z ławeczki, ścierając pospiesznie z policzków ślady łez. Badawczo i niespokojnie spojrzała w twarz rodzica. Starszy człowiek uśmiechał się nieznacznie i przybrał swobodny i obojętny wyraz twarzy. Młodej dziewczynie zdawało się jednak, że jakieś ważne myśli muszą kryć się za jasnym tłem jego czoła.

— Tu jesteś, Janeczko? — odezwał się swobodnie pan Krański. — Właśnie szukam ciebie. Chciałbym z tobą trochę porozmawiać...

Usiadł na ławeczce i córkę posadził naprzeciw siebie. Po chwili wziął dziewczynę za ręce, podniósł potem jej główkę do góry i, bystro patrząc w oczy, zapytał łagodnie:

— Co tobie dolega, dziecino?...

Janka drgnęła i usiłowała odwrócić głowę, ale pan Krański nie zezwolił jej na to.

— Odwracasz głowę, unikasz mego wzroku... — rzekł. — Widzę, że nie chcesz ze mną być tak szczerą, jak dawniej. Dlaczegoż to, moja córeczko?

— Ależ, ojczulku...

— Nie staraj się przeczyć. Skłamałabyś tylko... Ja wiem, Janeczko, że od niejakiegoś czasu tobie coś dolega. Zresztą choćbym o tym nie wiedział to musiałbym się domyślić, patrząc w tej chwili na ciebie. Bo jakże ty wyglądasz? Zmizerniałaś, twarzyczkę masz bladą, oczy zapadłe...

Janka już nie przeczyła. Wiedziała, że wygląda mizernie. Jakże inaczej mogła wyglądać po męczącej, bezsennej nocy!

— Masz zmartwienie — ciągnął dalej pan Krański. — Zauważyłem to już wczoraj, ale zdaje się, że dopiero przed chwilą odkryłem źródło twego zmartwienia. Powiedziałaś mi, że kochasz pana Donieckiego i, że on odwzajemnia twoje uczucia... Tymczasem widzę, że młodzieniec dąsa się czegoś: jest manifestacyjnie niegrzeczny, ucieka przed tobą. Ciebie zaś znajduję zapłakaną.

Dziewczyna opuściła głowę na piersi, desperacko zagryzając usta.

Nie trwało to jednak dłużej niż sekundę. Zaraz bowiem podniosła znowu głowę, a w oczach jej zamigotał błysk nagłego postanowienia. Przybrawszy potem jak najbardziej obojętny wyraz twarzy, rzekła:

— Jesteś, ojczulku, bardzo spostrzegawczy. Bo rzeczywiście spotkała mnie pewna przykrość. Ale zmartwienie moje nie jest znowu tak wielkie, jak się ojcu zdaje.

— Jednak przed chwilą płakałaś. Widziałem przecież...

— Wcale nie zaprzeczam. Ale czy tatuńcio sądzi, że koniecznie musi być bardzo poważny powód, gdy młoda panienka płacze?

— Sądzę, że dla ciebie poważny, skoro powodem twego zmartwienia jest... pan Doniecki.

Janka odważnie spojrzała w twarz ojca.

— Choćby i on — rzekła, siląc się na ton obojętny.

Pan Krański obrzucił ją badawczym spojrzeniem, coś, jakby lekkie zdziwienie odmalowało się na jego dobrodusznej twarzy.

— Przecież mówiłaś mi Jano, — zaczął — że go kochasz...

— Owszem...

— Więc...?

Dziewczyna uśmiechnęła się blado.

— Czy tatuńcio nie kazał mi namyśleć się i poddać moją miłość gruntownej analizie? — rzekła, przymrużając oczy. — Mówiłeś mi, że nie mam zbytnio ufać nawet panu Donieckiemu, bo i jego dobrze nie znamy... A ja poszłam za twoją radą...

— Przyznam się Janeczko, że wyznanie twoje, iż kochasz pana Donieckiego, zaskoczyło mnie trochę, a słowa, jakie wtedy wypowiedziałem, były podyktowane serdeczną troską o przyszłość jedynego dziecka. Jednak przypominam sobie, że powiedziałem także, że nie jestem za, ani przeciw panu Donieckiemu, dopóki nie zasięgnę o nim bliższych informacyj...

Z intonacji, z jaką pan Krański wypowiedział to zdanie, Janka domyśliła się, że ojciec jej nie powiedział jeszcze wszystkiego. To też z pewnym wymuszeniem i niepokojem oczekiwała jego dalszych słów.

— Właśnie dzisiaj otrzymałem odpowiedź z Poznania — mówił wolno pan Krański z pod oka obserwując córkę. — wynika z niej, że pan Zdzisław, mimo ogólnego kryzysu, stoi majątkowo dobrze i cieszy się bardzo pochlebną opinią. Jest poważanym powszechnie i bardzo porządnym młodzieńcem — słowem wart zupełnego zaufania.

Serce Janki łomotało w przyspieszonym tempie. Twarzyczka jej zapromieniła się w przypływie nagłej radości, a oczy zajaśniały triumfem.

Pan Krański udając, że nie widzi tych zmian, ciągnął dalej:

— Nie miałbym więc nic na przeciw temu, gdyby oświadczył się tobie i poprosił mnie o twoją rękę. Teraz już oddałbym mu bez żadnych obaw swój skarb najcenniejszy — moją jedynaczkę. Tymczasem spostrzegam, że pan Zdzisław chyba nie myśli wcale starać się o ciebie. A i ty?... Czy ty go naprawdę kochasz dziewczyno?

Janka z wyrzutem spojrzała na ojca. Ona nie kocha swego Zdzisława? Ach, wielki Boże, jak to mógł w to wątpić. O, gdyby ojciec wiedział, jak boli ją nieufność Zdzisława i ta nagła zmiana w jego postępowaniu. Ileż ona przecierpiała w ciągu jednej tylko nocy!

Nowa fala żalu zalała jej serce — żalu do Zdzisława, że swojem postępowaniem sprawia jej tyle zmartwień. A przecież zapewniał ją o swej dozgonnej miłości. Mówił, że kiedy w jego życiu, że ...tylko wtedy czuje się zupełnie szczęśliwy, gdy jego ukochana dziewczyna jest przy nim. A teraz?... O, jakże zmienne jest serce mężczyzny! Teraz on jej unika i swojem postępowaniem daje ojcu powód do różnych domysłów...

A co znaczy teraz ten badawczy zwrok ojca i ten dziwny uśmiech, jaki w tej chwili ukazał się na jego ustach? Czyżby Zdzisław zwierzał się jej ojcu... Może powiedział, że ona go oszukała.., może poskarżył ,że go nie kocha?...

Myśli te, niby błyskawica przelatujące przez udręczony umysł dziewczyny, przerażały ją nieomal. A ponad temi myślami w mózgu jej dźwięczały jeszcze słowa ojca: „...Zdzisław chyba nie myśli starać się o ciebie. A ty, czy ty go naprawdę kochasz dziewczyno?".

Byłażby w tych słowach jaka myśl ukryta? A może ojciec więcej wie, niż powiedział? Może...

Janka widziała już oczyma bujnej wyobraźni nagły odjazd młodzieńca: Zdzisław odjeżdżał bez pożegnania się z nią, aby już więcej do niej nie powrócić!

Pod wpływem tej myśli zerwała się z ławki. Drżała wewnętrznie. Oczy jej błyszczały...

— To nieprawda, ojcze, że przestałam ufać Zdzisławowi — wyrzuciła zdławionym głosem. — To nieprawda! On będzie mój... Ja go kocham... kocham nad życie i on mnie też kocha. Tylko... tylko...

Głos dziewczyny zadrgał tajonem łkaniem. Nie mogąc powstrzymać gwałtem cisnących się do oczu łez, wybiegła z altany, pozostawiając ojca zdumionego tak nagłym wybuchem.

— Co jej jest? — mruczał zdziwiony pan Krański, patrząc za szybko oddalającą się dziewczyną. — Mówi, że kochają się, a płacze w okryciu, zaś Doniecki lata jak warjat i rozpacza... Hm! Nieporozumienie, gniew... Nie szkodzi. Pogodzą się prędko — zakonkluował, spokojnie zapalając papierosa.

Tymczasem Janka mocno wzruszona pobiegła do swego pokoiku. Umysł jej opanowały bezładne, gorączkowe myśli. Czując zawrót głowy, wsunęła się w wygodny fotel.

Łagodny, jednostajny chlupot fal o brzeg jeziora wdzierał się przez otwarte okno i wpadał w miarowy rytm, zawieszonego nad biurkiem, zegara. Poza tem nic nie mąciło ciszy, drzemiącej w jasnych ścianach gabineciku.

Naraz ciszę tę przerwało brutalnie głośne pukanie do drzwi, które w następnej chwili otworzyły się szeroko, pchnięte silną ręką energicznej osoby. Na progu ukazała się pokojówka.

Szybkie spojrzenie Janki objęło postać Melanii i spoczęło na dużym bukiecie kwiatów, tkwiących w ręku pokojówki.

— To dla panienki — zaterkotała Melania. — Prawda, że piękne róże i te goździki? A jak pachną? Niech też panienka odgadnie od kogo one są?

Janka żywo zerwała się z fotelu, biorąc kwiaty. Jasny promyk nadziei ożywił jej lica. Czy to Zdzisław przysyła jej ten śliczny bukiet? Może zrozumiał, że wyrządził jej krzywdę swojemi przypuszczeniami i teraz chce ją przeprosić...

Ale już następne słowa pokojówki rozwiały resztki nadziei panny Krańskiej.

— Ten śliczny bukiet panience przysyła pan Tulczyński — rzekła Melania, uśmiechając się dyskretnie.

Trzymająca kwiaty ręka Janki opadła nagle wzdłuż ciała. Tulczyński jej przysyła kwiaty?... Tul-czyń-ski?!

Dziewczyna była pewna, że literat nie uczynił tego bez ukrytej intencji. Zapewne dowiedział się o zaszłym pomiędzy nią a Zdzisławem nieporozumieniu i chciał wykorzystać to dla siebie... A może poprostu zaszydził z niej?...

Myśl ta wydała się Jance tak prawdopodobną, że uwierzyła w jej prawdziwość. Bez dalszego namysłu odwróciła się i, w obecności zdumionej pokojówki, machnęła bukietem w otwarte okno.

* *
*

Zdzisław niespokojnie biegał po swojem pokoju. Niespodziewane spotkanie Janki w ogrodzie wstrząsnęło na nowo jego nerwami. W jednej chwili rozwiał się z tak wielkim trudem osiągnięty, acz powierzchowny tylko, spokój. Umysł jego znowu opanowały rozpaczliwe goryczą przesycone, myśli, do których dołączył się teraz dziwny niepokój...

Wygląd panny Krańskiej przeraził go. Jakże ona się zmieniła w ciągu tych kilka godzin! Zmizerniała, pobladła... oczy podkrążone... płakała widocznie. Ach, z jakim wyrzutem spoczęły na nim jej duże, niebieskie oczy...

Zdzisław zadrżał na to wspomnienie. Czyż on nie był powodem cierpień pięknego dziewczęcia?...

Ujrzawszy, jak Janka pozwoliła pocałować się obcemu mężczyźnie, powodowany nagłą rozpaczą, a więcej może szaloną zazdrością, potępił ją z miejsca, nie chcąc nawet wysłuchać jej tłumaczeń. Później dopiero, kiedy ochłonął już i zdołał nieco przytłumić swoją rozpacz, mógł zastanowić się trochę nad przyczyną tak jawnej jak sądził, zdrady swej narzeczonej. O tem, że Janka go kochała, wątpić nie mógł. O gorącej miłości zapewniały go nie tylko jej karminowe usteczka, ale duże, prześliczne oczy ze słodyczą jedynie na niego patrzące. Był więc kochany, tylko...

Uwadze Zdzisława nie uszedł mały szczegół, nad którym z początku wcale się nie zastanowił. Mianowicie zastanowiło go to, że jego rzekomy rywal zaszedł z tyłu pannę Krańską i, pocałowawszy ją w szyję — uciekł jak złodziej. Dlaczego uciekł? Może poprostu odważył się na taką zuchwałość, że wykorzystał nieuwagę Janki i skradł pocałunek. I dlatego uciekł, bo obawiał się następstw swego zuchwalstwa. W takim razie Janka byłaby niewinną... nie sprzeniewierzyłaby się jemu wcale.

Ale to jeszcze nie uspokoiło Zdzisława. Przede wszystkiem musiał wiedzieć, kto się odważył w taki sposób napastować jego narzeczoną. Tylko przez moment widział intruza, ale zdążył zauważyć jego starannie wygoloną twarz. Twarz tę znał dobrze. Należała niewątpliwie do Franciszka Leśniczaka...

Więc lokaj?...

Jad podejrzenia, który już zdążył wsączyć się w serce zrozpaczonego młodzieńca, wydał pierwszy owoc pod postacią takich myśli: Jaka jest przeszłość panny Krańskiej?... Może lokaj ma przypadkiem jakie prawa do jego narzeczonej?...

I pod wpływem ostatniego przypuszczenia Zdzisław chciał natychmiast opuszczać willę „Aurorę". Ale minęły dwie... trzy... cztery godziny, a on jeszcze nie wyjechał. Bowiem na dnie jego serca tliła się iskierka nadziei, że może tak nie jest, jak on sądzi. Zresztą przekonał się, że zbyt silnie kocha Jankę, aby mógł wyrzec się jej na zawsze. Więc został...

Noc spędził bezsennie. Rano wziął zimny prysznic i z pewnym niepokojem zeszedł na śniadanie, które zjadł tylko z panem Krańskim, oraz Ireną. Tulczyński bowiem wyjechał był już do pobliskiego miasta, a Janka, wymówiwszy się bólem głowy, nie zeszła wcale na śniadanie, ani też na obiad.

Nie przyznałby się do tego, że jedynie chęć zobaczenia Janki sprowadziły go przed wieczorem do ogrodu. Choć zdaleka pragnął popatrzeć na dziewczynę.

A kiedy ją tam spotkał, kiedy ogarnął wzrokiem jej wysmukłą postać, chciał już z wyciągniętymi rękoma pobiec do niej, gdy nagle przed oczyma stanęła mu zaobserwowana wczoraj scena, będąca powodem jego zmartwienia. I opanował go tak wielki żal do dziewczyny, serce jego ścisnęło się takim bólem, że uciekł coprędzej do swego pokoju...

Rozpamiętywując teraz te wszystkie szczegóły, Zdzisław stanął przy oknie i niewidzącemi oczyma począł wodzić po obłokach. Widocznie przeżuwał dalej trapiące go myśli, bo od czasu do czasu brwi jego marszczyły się groźnie.

Po chwili gorzki uśmiech ukazał się na jego ustach.

— Czy są jeszcze na świecie uczciwe kobiety? — zawołał głośno, chwytając się za głowę. — Niech mi kto odpowie...

— Są — wyrzekł z naciskiem głos jakiś tuż nad jego uchem.

Zdzisław zadrżał i odwrócił się szybko. Przy nim stał szczupły młodzieniec, którego czarne oczy z jakimś dziwnym uporem wpiły się w jego oblicze.

— Ty? — przemówił cicho, poznawszy Kazimierza.

Młody dziennikarz nie poruszył się. Na jego twarzy malowało się najwyższe zdumienia i nagły przestrach.

Naraz podniósł rękę i ciężko opuścił ją na ramię przyjaciela.

— Zdzichu — zapytał, sugestionując wzrokiem młodzieńca. — Powiedz mi, co znaczą twoje gorzkie słowa?

Twarz Zdzisława drgnęła bolesnym skurczem. Nie odpowiedział i głowę opuścił na piersi.

Oczy Kazimierza zapaliły się dziwnym blaskiem.

— Jakże ty wyglądasz? — rzekł surowo. — Zdzisław stanął przy oknie i niewidzącymi oczyma co wczoraj jeszcze byłeś taki szczęśliwy?... Wiem, że pogniewałeś się z panną Krańską, ale żeby...

— Ja się pogniewałem? — wybuchnął nagle Zdzisław. — Ona mnie zdradziła! Rozumiesz?! Ona...

Łzy go dusiły. Nie mógł mówić dalej.

— Czyś ty oszalał! — usiłował zreflektować go młody dziennikarz. — Co i jak się stało? Opowiedz mi proszę.

Zdzisław nerwowo przeszedł się po pokoju. Był wzburzony.

Nagle stanął przed dziennikarzem.

Ciąg dalszy nastąpi.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka

ul. W. Małaczyński — Łysinin.

go	lu	Cze	nie	i	mie	
cem	pie	dzi	się	mu	gdy	
bó	nej	gi	ści,	nie	cze	ści
się	słoń	ty	cia	dru	kwiat	
jed	i	den	słoń	mu	szczęś	
pod	ce	w	le	je	gim	

Ruchem konika szachowego odczytać treść zadania.

Szarada

Pierwsza, trzecia, dźwigasz - nieraz ciężkie
Druga — trzecia broń dawna Tatara
Całość, to rzecz ni męska ni żeńska,
Lecz część ziemi dobrze wszystkim znana.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 15 stycznia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 52 „Moich Powieści": **Logogryf świąteczny:** 1) Akro**b**acja. 2) Bydg**o**szcz. 3) Porażenie. 4) Serdeczne. 5) Polo**n**ista. 6) Gimnazjum. 7) Asparagus. 8) Port**o**rium. 9) Poga**d**anka. 10) Oszczędny. 11) Kosm**e**tyka. 12) Roma**n**tyzm. 13) Gorliwość. 14) Tendencja. **Całość:** Boże Narodzenie. **Eliminatka literacka:** 1) **K**opa. 2) P**o**ra. 3) **Sz**ew. 4) Po**s**t. 5) To**ki**. (klucz Potop.) **Końcowe rozwiązanie:** Kraszewski.

Trafne rozwiązanie zadań z nr. 52 nadesłali pp.: Dionizy Janicki — Gniezno, Wacław Bultrowicz — Gniezno, Ignacy Popowski — Grabowo, Aniela Kuniewiczówna — Wilno, „Ala", Pelagia Wawrzecka — Bronowice, Mieczysław Robbe — Kalisz, Witalis Rąbecki — Brzózka, Wanda Adamkówna — Wiele, Kunegunda Pilarska — Wygoda, Zygmunt Próchniewicz — Poznań, Justyna Władakówna — Puszczykowo, Lucyna Robińska — Grodzisk.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Anieli Kuniewiczównie z Wilna i Witalisowi Rąbeckiemu z Brzózki.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 10 stycznia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 8.03 Audycja dla wsi 9.00 Transmisja nabożeństwo z Łodzi 10.30 Koncert popularny „W Kalejdoskopie". 12.03 Koncert rozrywkowy 14.30 „1000 taktów muzyki" 15.30 „Audycja dla wsi" 16.20 Premiera słuchowiska pt. „Trzecie i ostatnie drzwi" 17.00 Koncert symfoniczny 19.00 „Urok książki" — pogadanka aktualna 19.20 Jan Kiepura i Marta Eggert 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Utwory skrzypcowe odegra Ignacy Weissenberg 22.00 Orkiestra Seredyńskiego 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 11 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert w wykonaniu orkiestry wojskowej 15.15 Muzyka lekka 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 „30 minut włoskiej muzyki" 17.00 „Polski dorobek w zakresie nauk ścisłych" — odczyt 17.15 Koncert solistów 18.50 „O naszych sprawozdaniach giełdowych" — pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 21.00 Wieczór literacki poświęcony Edwardowi Porębowiczowi 21.35 Koncert Chóru Eryano 22.00 Koncert symfoniczny z udziałem Stefana Aszkenaze — fortepian 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 12 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 „Zapomniane utwory" 15.15 Koncert zespołu salonowego 16.30 Fragmenty operetek Pawła Abrahama — konc. z płyt 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.15 Koncert kameralny 17.50 „Skrzynka zażaleń" — monolog 19.00 „Dyskutujmy" — „Czego szukamy w książce" 19.20 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 20.00 Rozmowa muzyka ze słuchaczami radia 20.15 Muzyka jazzowa na skrzypce i fortepian 21.00 Europejski koncert szwedzki (transm. ze Sztokholmu) 22.00 Kolędy polskie i obce 22.30 „Zima poetycka" — kwadrans poezji 22.45 Muzyka taneczna z „Cafe Clubu".

Środa, dnia 13 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół „Co się dzieje pod lodem" 12.03 Muzyka salonowa 12.50 Jak ułożyć budżet, pogadanka 15.15 Arie i pieśni — muzyka z płyt 16.10 Zagadki muzyczne audycja dla dzieci 16.30 Koncert 17.00 „Żołnierz KOP.'u a młodzież kresowa' — odczyt 17.15 Rzadko słyszane pieśni" 17.50 „Z kłopotów prelegenta w Ameryce" — felieton 18.50 „Nie czekajmy, a sami weźmy się za pracę" — pogadanka 20.00 Orkiestra Alberta Sandlera — płyty 21.00 Koncert chopinowski wykona Sergiusz Tager 21.30 Claude Debussy: Kwartet smyczkowy 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 14 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych 12.03 Arie i pieśni instrumentalne 15.15 Zespół salonowy Pawła Rynasa 16.20 „Styczeń" — pogadanka dla dzieci starszych 16.35 Koncert solistów 17.50 „Mickiewicz i Słowiańszczyzna w świetle najnowszych badań" — odczyt 19.00 Premiera słuchowiska pt. „Przedziwny rycerz Don Kichot z Manczy" 19.30 „U Wschodniej ściany Rzeczypospolitej" — felieton wygł. M. Wańkowicz 21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich — Ludomir Różycki 22.10 Lekki koncert w wykonaniu orkiestry wileńskiej 23.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 15 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół „Kulig" — Benedykta Hertza 12.03 Koncert południowy 15.15 W tempie mazura — koncert 16.30 Pieśni murzyńskie 17.00 Robert Schumann: Trio d-moll op. 63 19.00 „Turkus" — humoreska 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Przy dźwiękach harfy 20.00 Pogadanka z cyklu „Instrumenty ork. symfonicznej" 20.15 Transmisja opery z Teatru Wielkiego 22.30 „Naszyjnik" — skecz 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 16 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Śpiewajmy piosenki 12.03 Francuskie utwory skrzypcowe 14.30 Słuchowisko dla dzieci pt. „O chińczyku Czing-Czang i porcelanowej księżniczce" 15.15 Koncert rozrywkowy 16.15 „Muzyka gór" — koncert 17.00 Koncert solistów 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.30 Koncert w wykonaniu orkiestry Polskiego Radia 21.00 Życie to taniec — Transm. z Wiednia 22.00 „Kukułka Wileńska" 22.30 Muzyka taneczna.

H-U-M-O-R

U lekarza

— No cóż pani dolega?

— Ach, panie doktorze, mam straszny artretyzm. Nie mogę zupełnie unieść rąk nad głową. Z nogami to samo.

Sprytna

Ojciec do sześcioletniej córeczki:

— Co robisz, Marychno?

— Maluję lalce buzię na czerwono!

— Czem?

— Wódką.

— Wódką? Od wódki nie nabierze buzia czerwonej barwy.

— Nabierze. Przecież nieraz mówi mamusia, że ty masz nos czerwony od wódki.

W szkole

— Proszę mi wymienić jakąś właściwość wody.

— Jak się w niej umyć to czernieje.

Grzeczność w wojsku

— Szeregowiec Makolągwa!...

— Słucham, panie sierżancie.

— Przypuść, że stoisz na warcie przed prochownią. Patrzysz, a tu zbliża się ktoś z papierosem w ustach. Co wówczas robisz?

— A no, powiadam: ty, psia twoja mać...

— Głupiś! poco zaraz tak ordynarnie. Mówi się grzecznie: papieros z mordy!

Droga śmierć

Ile kosztuje ogłoszenie w rubryce nekrologów — pyta pani z prowincji przy okienku jednego z dzienników.

— 25 groszy za milimetr — informuje ją urzędnik administracji.

— Boże, ależ to majątek! — woła przerażona kobiecina. — Mój panie, niech mi pan obliczy, ile będę musiała zapłacić, jeśli mój biedny Janek miał metr osiemdziesiąt wzrostu.

Sumienny tatuś

— Za co pan tak bije swego synka?

— Bo jutro przynosi świadectwo, a ja dziś wieczorem muszę wyjechać.

Po operacji

— Wyobraź sobie, po operacji ślepej kiszki straciłam osiem kilo!

— Co ty mówisz! Nigdy nie przypuszczałem, że ślepa kiszka tyle waży!

Dobry hotel

W małomiasteczkowym hotelu gość rano wskazując na buciki, które wystawił poprzedniego wieczoru i które pozostały niewyczyszczone, mówi ze złością do gospodarza:

— Niech mi pan powie, co pan właściwie sobie myślał o tym — dlaczego ja tutaj buciki wystawiłem przed drzwi?

— Oj, ja też sobie nałamałem nad tym głowę. Ale w końcu pomyślałem, że pewnie dlatego, że pan dobrodziej wczoraj wieczorem w coś nieostrożnie wstąpił i nie chciał pan mieć brzydkiego zapachu w pokoju.

W wiejskiej szkółce

Do wiejskiej szkółki przyjechał wizytator. Nauczyciel chcąc, by dzieci umiały się grzecznie do niego odezwać, pouczył je, by po każdej odpowiedzi dodawały „panie inspektorze".

Gdy w czasie inspekcji wizytator zapytał jednego z uczniów:

— Co powiedział Pan Bóg do Adama, gdy go wypędził z raju?

Malec odpowiedział bez zająknienia:

— Przeklęty będziesz ty i dzieci twoje, panie inspektorze!



— Trzeba schudnąć, mój przyjacielu, lekarz kazał mi jeść tylko ryby...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.